TAJEMNICE SKARBY KOLEKCJONERSTWO MILITARIA FORTYFIKACJE PRZYGODA

ODKRYWCA

NR 6(12) LIPIEC 1999 ROK II ISSN 1505-6104 CENA 5,00 PLN

w numerze:

Znaleziono archiwum „Gryfa Pomorskiego”!

Niezwykła kolekcja Adama Mańczaka

Lasy pełne kurhanów

Arkadiusz Pawełek: Przygoda jest zazdrosną kochanką

Jedź z „Odkrywcą” do Królewca

Szukam, szukania mi trzeba...

SZUKAM, SZUKANIA MI TRZEBA...

Nazwij to, jak chcesz – ciekawością, niepokojem, wewnętrznym imperatywem. Jakkolwiek nazwiesz, chodzi o to samo: o niewytłumaczalną a przemożną potrzebę szukania – skarbów, sensu, tajemnicy, prawdy, wartości, sposobu na życie... Dopóty żyjesz, dopóki idziesz, szukasz, czekasz, marzysz...

Ten krzyż znajduje się w lesie w okolicach Krynicy Morskiej. Na zalaminowanej kartce widnieje napis: *Tu spoczywają szczątki 8 żołnierzy niemieckich poległych w dniach 2-3 maja 1945 r. Przechodniu, uszanuj miejsce ich spoczynku.*
Ktoś dba o mogiłę – są znicze i świeże kwiaty.
Sporo pisaliśmy na łamach „Odkrywcy" o zdewastowanych niemieckich cmentarzach i skandalicznych zachowaniach ludzi, którzy nie mają poszanowania dla zmarłych. Cieszymy się, że tym razem możemy podać pozytywny przykład – właściwej, godnej naśladowania postawy. Domagamy się, by otoczono opieką groby Polaków, którzy zginęli na obcej ziemi, więc pokażmy sami, jak należy to czynić.
fot. ODKRYWCA

Historia znaleziona na strychu...
Te przedmioty wydobyto ze skrytki „Gryfa Pomorskiego" (czytaj – str. 1).
fot. Roman Sikora

GDZIE MOŻNA KUPIĆ „ODKRYWCĘ"
W sklepach sieci EMPiK, „KOLPORTER" i DPJ w całej Polsce.

PRENUMERATA
Ogłaszamy prenumeratę do końca roku. Zasady – na stronie 17.

NUMERY ARCHIWALNE
Nakład wszystkich numerów ubiegłorocznych (od „0" do 6/98) oraz 1(7)/99 i 2(8)/99 został wyczerpany. Oferujemy kserokopie. Cena – 5 złotych. Do nabycia są jeszcze numery 3(9)/99 i 4(10)/99. Jeden egzemplarz kosztuje 5 złotych.
Prosimy przesłać należność za zamówione egzemplarze **przekazem pocztowym** (wyraźnie zaznaczyć na odwrocie, o które numery chodzi) lub dokonać wpłaty bezpośrednio **na konto**: PKO BP o/Konin 10202746-902450-270-1
Można też zamówić archiwalne numery „Odkrywcy" za zaliczeniem pocztowym, ale jest to najmniej korzystne dla Państwa, gdyż koszt takiej przesyłki (znaczny) musimy doliczyć do ceny zamówionych egzemplarzy.
Ponieważ numerów archiwalnych szybko ubywa, **przed wysłaniem zamówienia prosimy upewnić się telefonicznie**, czy nakład nie został wyczerpany. Telefon: (063) 242 82 60 oraz 242 82 32, dyżur redakcyjny – wtorek, godz. 10.00 – 14.00.

UWAGA! Bardzo prosimy o czytelne wypełnianie druków i podawanie pełnych adresów. Nie mając nazwy ulicy, numeru domu i mieszkania – nie możemy wysłać Państwu zamówionego czasopisma. Prosimy też o wyraźne zaznaczenie, które numery Państwo zamawiacie (z podaniem roku; np. nr 3/99).

SZUKAJ Z „ODKRYWCĄ"!

ODKRYWCA ISSN 1505-6104

TAJEMNICE SKARBY KOLEKCJONERSTWO MILITARIA FORTYFIKACJE

WŁAŚCICIEL TYTUŁU – WYDAWCA: Wydawnictwo „JMK" – Marek Dudziak, 62-500 Konin, ul. 3 Maja 32
WSPÓŁWŁAŚCICIEL: LM Spółka Akcyjna, 62-510 Konin, ul. Zakładowa 14, tel. (063) 245 63 08, fax (063) 245 63 09, e-mail: bhp@lm.com.pl
ADRES REDAKCJI: 62-500 Konin, ul. 3 Maja 32, tel. (063) 242 82 32, tel./fax 242 82 60; dyżur redakcyjny – wtorek, godz. 10.00 – 14.00
REDAKTOR NACZELNA: Maria Wiatrowska
ZESPÓŁ: Radosław Biczak, Jola Dudziak, Marek Dudziak, Piotr Kurzawa, Kuba Dudziak
WSPÓŁPRACOWNICY DO SPRAW KONTAKTÓW ZAGRANICZNYCH: Agata Konińska (język francuski), Katarzyna Michalak (język angielski)
OPRACOWANIE GRAFICZNE, ŁAMANIE, DRUK: Agencja Reklamowa „GRAFIK" s.c., 62-510 Konin, Pl. Niepodległości 1, tel. (063) 243-88-00, e-mail: grafik@zet.com.pl

Za treść artykułów odpowiadają autorzy. Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Zastrzegamy sobie także prawo przedruku nadesłanych tekstów i zdjęć w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nie ponosimy odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji. Przedruki artykułów i kopiowanie zdjęć – wyłącznie za zgodą redakcji.

Znaleziono archiwum „Gryfa Pomorskiego”!

Konspiracyjne meldunki i dokumenty, akumulatory do radiostacji, lornetka, ćwiczebna amunicja i trzysta czterdzieści egzemplarzy drukowanej w podziemiu gazety „Głos Serca Polskiego” – to najciekawsze z materiałów Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”, które odnaleźli gdańscy poszukiwacze na strychu jednego z domów w Czarnej Wodzie na Kociewiu.

Krzysztof Bartnik z „Latebry” na czarnowodzkim strychu
fot. Roman Sikora

Józef Weltrowski, historyk-amator z Gdańska, przy współpracy z „Latebrą” – Fundacją na Rzecz Odzyskania Zaginionych Dzieł Sztuki, przed czterema laty wykopał ukrytą na terenie gospodarstwa swojego ojca gilotynę drukarską. Była to jedna z maszyn działającej w latach okupacji tajnej drukarni „Gryfa Pomorskiego”. Konspiracyjną gazetę „Głos Serca Polskiego” w czasach PRL uznawano za wytwór fantazji konspiratorów z Pomorza. Jej jedyny egzemplarz został odnaleziony dopiero w 1990 roku w archiwum Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Bydgoszczy. Od czerwca br. nikt już nie może wątpić w istnienie gazety, gdyż światło dzienne ujrzało trzysta czterdzieści egzemplarzy.

Do domu państwa Trzcińskich w Czarnej Wodzie Józef Weltrowski zajrzał nieomal przy okazji. Interesowały go losy dawnego właściciela – Mariana Szóstaka. O Szóstaku dowiedział się niewiele, za to obecny gospodarz wspomniał coś o szpargałach, które od lat zaśmiecają mały stryszek. Od słowa do słowa i gospodarz przyniósł plik... „Głosów Serca Polskiego”. Trudno wyrazić wzruszenie pana Weltrowskiego, gdy zobaczył poszukiwaną od lat „swoją” gazetę. Odżyły wszystkie wspomnienia i emocje. Józef Weltrowski, pseudonim „Pstrąg”, przypomniał sobie, ile trudu kosztowało wydanie każdego numeru, a było ich około dwudziestu i każdy trzykrotnie wznawiany, jakie perypetie towarzyszyły kradzieżom zwykłego pakowego papieru z gdańskiej rzeźni, na który przelewano tak ważne treści...

Weltrowski postanowił skorzystać z pomocy ludzi, z którymi już raz odniósł sukces i o znalezisku powiadomił Krzysztofa Bartnika – prezydenta „Latebry”. Jednak nikt z poszukiwaczy, którzy zabrali się do penetracji strychu, nie mógł się spodziewać, że odkrycie będzie aż tak sensacyjne. Oprócz gazet, zarówno konspiracyjnych, jak i niemieckich, pod podłogą znaleziono odręczne notatki „gryfowców”! Wśród nich są całe listy nazwisk z podziałem na „Niemców polakożerców”, „Volksdojczów” i „Prawdziwych Polaków”, Zdarzają się również adnotacje, który Niemiec i w jaki sposób krzywdził Polaków. Na jednym ze spisów nazwisko jest wykreślone, a poniżej widnieje trupia główka – być może chodziło o wykonany wyrok śmierci. Są także szkice terenowe z zaznaczonymi obiektami o znaczeniu strategicznym. Poza tym część notatek jest zaszyfrowana.

Pułkownik Krzysztof Komorowski – historyk Pomorza i dyrektor Centralnej Biblioteki Wojskowej w Warszawie – przypuszcza, że odkryte dokumenty mogą świadczyć o oczekiwaniu na aliancki desant i przygotowaniach do zbrojnego powstania na Pomorzu. Poza dokumentami na zasobnym strychu w Czarnej Wodzie znaleziono m.in. ćwiczebną amunicję z drewnianymi czubkami, lornetkę, odręczny portret Churchila, drewnianą płaskorzeźbę orła białego, dwie wyrzeźbione trupie główki oraz akumulatory do radiostacji i kilka podzespołów.

Józef Weltrowski i eksploratorzy z „Latebry” nie spoczywają na laurach i w obejściu państwa Trzcińskich szukają teraz zamaskowanego schronu, w którym mieli spotykać się konspiratorzy z „Gryfa Pomorskiego”. Nie jest to bynajmniej ostatni ze śladów, gdyż odkrycie dokumentów sprawiło, że pojawiają się kolejne informacje i zupełnie nowe tropy, które wymagają wnikliwej weryfikacji.

Radosław Biczak

Więcej o „Gryfie Pomorskim” i trwających poszukiwaniach – w następnym numerze „Odkrywcy”.

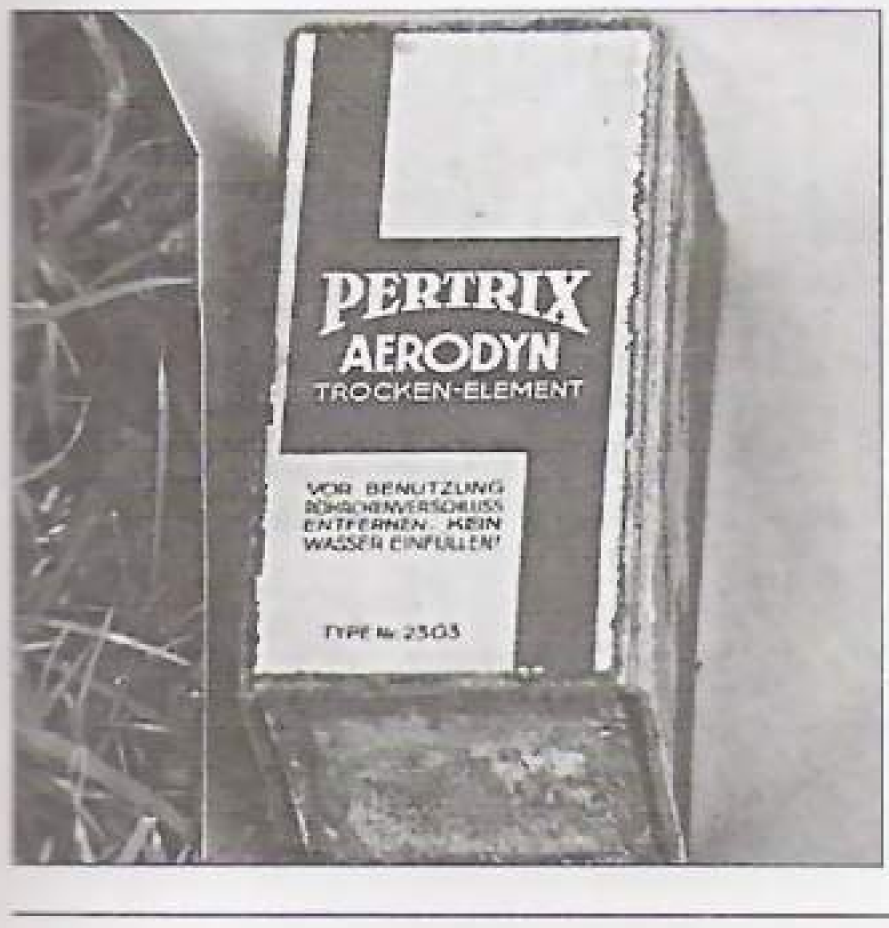

Oprócz archiwum w skrytce znajdowały się akumulatory do radiostacji, lornetka i amunicja ćwiczebna
fot. Roman Sikora

Głos Serca Polskiego

ZRZUĆ KAJDANY NIEWOLI — TE NOSZĄ UPODLENI!

Nr. 340. O.K. Rok. 1.

OD REDAKCJI!

W chwili obecnej przylecieliśmy z Anglii do was, aby serca wasze ożywić. Kolega mój który razem zemną się wybrał do was, zmuszony był do lądowania na terenie Niemiec nad granicą francuską, z powodu defektu w maszynie. Ja szczęśliwie doleciałem do was i zrzucam wam gazetki „Głos Serca Polskiego” abyście nie dali się uwieźć zasadzie Niemca. Przetrwali w stanie prawdziwych Polaków dla których się przyszłość uśmiecha. Zatrzymam się u was do godz. 10tej i odlecę dalej na wschód do Rosji, Japonii, Ameryki gdzie zaobserwuję wszelkie wypadki wojenne. Nie wiem napewno ale gdy będę wracał to wam również podam w „Głosie Serca Polskiego” wszystkie wydarzenia i nowości. Radzę wam tylko przeczytać od początku do końca z uwagą i namysłem. Podajcie dalej to piękne pisemko swym znanym najlepszym Polakom z krwi i czynu! — Więc żegnam, bo w tej chwili otrzymałem wiadomość od mego kolegi, że motor gotowy i lecimy przez Moskwę, Tokio do Nou—Jorku. No uzbrójcie się w cierpliwość, gdy wrócę będę spowrotem, to może zostanę na dłuższy czas u was w gościnie. Cześć nieuka, do widzenia do następnego razu.

Redakcja.

BRACIA, SIOSTRY POLACY!

Zwracamy się do was, w chwili tak poważnej gdzie obecnie na widowni świata polityka odmienia się tak szybko, że niejesteśmy w stanie uwierzyć że fortuna Szczęścia i Wolności w najbliższym czasie do naszych Serc Polskich zawita! Wystarczy oczy zwrócić na Wschód, gdzie na pierwszym planie dostrzeże się na rozległych moczarach Białorusi i stepu Ukrainy posuwające się niezliczone, zastępy stalowych potworów, które niosą zgubę i widmo śmierci swastyce splugawionego Krzyża. na dalekim Wschodzie, Ameryka zadała cios Japonii, wymierzając sprawiedliwość jej brutalnemu rozwojowi expansii w słonecznych dalekowschodnich obszarach. Przechodząc wzrokiem na zachód, rozpościera sie wielka płaszczyzna na której wystąpią w bliskich dniach armie państw zachodu i północy zadając cios śmiertelny odwiecznemu burzycielowi Pokoju i Sprawiedliwości Niemcu. W obecnej chwili armie państw Polsce sprzymierzone biją wroga z hartem ducha z uśmiechem na

Sensacyjne znalezisko – konspiracyjna gazeta Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”

Pierwsza wystawa „Odkrywcy"!

„WRZESIEŃ 1939 W KOLEKCJACH ODKRYWCÓW I POSZUKIWACZY SKARBÓW"

Organizatorzy
Redakcja miesięcznika „Odkrywca", Redakcja „Żołnierza Polskiego" i Muzeum Tradycji Pomorskiego Okręgu Wojskowego

Miejsce ekspozycji
Muzeum Tradycji Pomorskiego Okręgu Wojskowego, ul. Czerkaska 2, 89-915 Bydgoszcz, tel. (052) 378 20 26, fax (052) 378 23 31

Termin
1-30 września 1999 r.

Cele
W sześćdziesiątą rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej ukazanie kampanii wrześniowej przez pryzmat jej materialnych śladów znajdowanych współcześnie. Zaprezentowanie dokonań poszukiwaczy, ich pasji i wytrwałości w odkrywaniu historii.

Wystawa jest otwarta – każdy poszukiwacz (grupa, klub itp.) może zaprezentować swoje eksponaty, pod warunkiem, że zostały przez niego znalezione. (Mile widziana dokumentacja fotograficzna oraz określenie miejsca i czasu znalezienia.)

Przedmiotem wystawy mogą być wyłącznie eksponaty związane z kampanią wrześniową 1939 roku:
- sztandary, elementy sztandarów i znaki Wojska Polskiego;
- umundurowanie;
- oporządzenie wojskowe;
- dokumenty, fotografie, pamiątki osobiste;
- destrukty broni;
- inne.

Poszukiwacze dostarczają eksponaty na własny koszt do Muzeum Tradycji POW do 20 sierpnia 1999 r. w godzinach pracy Muzeum: poniedziałki, wtorki, czwartki i piątki 8.00-16.00, środy 8.00-20.00, soboty, niedziele i święta 10.00-14.00. (Wskazany wcześniejszy kontakt telefoniczny.) W przypadku większych eksponatów Muzeum postara się pomóc w transporcie.

Zwrot eksponatów nastąpi w terminie do 30 dni od dnia zamknięcia wystawy.

Komisarzem wystawy jest Sebastian Witkowski, pracownik Muzeum. Organizatorzy powołają kapitułę wystawy, w skład której wejdą przedstawiciele Redakcji i Muzeum.

Każdy wystawiający otrzyma dyplom uczestnictwa. Jako wyraz szczególnego uznania dla poszukiwaczy-kolekcjonerów, za wyjątkowo ciekawe i wartościowe pod względem historycznym eksponaty zostaną przyznane specjalne dyplomy honorowe.

Zapraszamy do udziału!

Drodzy Poszukiwacze!
Po raz pierwszy macie szansę pokazać swoje dokonania publicznie. Przy każdym eksponacie zostanie umieszczona informacja o znalazcy.
Propozycja, abyście stali się współtwórcami wystawy w państwowym muzeum, organizowanej z okazji ważnej dla Polaków rocznicy, jest dowodem uznania dla Waszej pasji poszukiwawczej i umiłowania historii. Mamy zarazem nadzieję, że wystawa przyczyni się do zmiany wyrażanych przez część społeczeństwa negatywnych opinii o eksploratorach, opinii wywołanych przez nieodpowiedzialne zachowania wandali uchodzących za poszukiwaczy.
4 września planujemy zorganizowanie w Muzeum uroczystego spotkania poszukiwaczy, na które zostaną zaproszeni m.in. konserwatorzy zabytków i archeolodzy.
Szczegółowych informacji udzielają komisarz wystawy Sebastian Witkowski (telefon do Muzeum Tradycji POW) oraz Redakcja „Odkrywcy" (we wtorki w godz. 10.00-14.00, tel. 063 242 82 32 lub 063 242 82 60).

Drogie Niespokojne Duchy, liczymy na Was!
Nie siedźcie „w podziemiu", tylko wejdźcie ze swoimi zbiorami na muzealne salony, bo macie czym się pochwalić.

Alfabet kamieni – gagat

Jego nazwa pochodzi od miasta i rzeki Gagae w starożytnej Licji (Anatolia). Minerał ten zwracał uwagę człowieka od najdawniejszych czasów. Najstarsze znane ozdoby wykonane z gagatu pochodzą z okresu brązu i znaleziono je na terenie Wielkiej Brytanii. Późniejsze, z epoki żelaza, odkryto w Niemczech. Gagat znany był także jako surowiec do produkcji ozdób w starożytnym Egipcie. W Polsce cieszył się popularnością w okresie Odrodzenia. Szczególnie lubili nosić wówczas gagatowe ozdoby mężczyźni. Stąd podobno wywodzi się słowo gagatek. Z tego minerału wykonywano też chętnie biżuterię w XIX wieku, w okresie żałoby narodowej po powstaniach.

Gagat jest bitumiczną odmianą węgla brunatnego. Są to zwęglone kawałki drewna, które w środowisku wodnym zostały przesycone bituminami bez dostępu tlenu. Składa się w ok. 70 procentach z C, 5 do 8 procent stanowi H i ok. 1 procent – 0. Ma smolistoczarną barwę, połysk matowy, a po wypolerowaniu lśniący, przełom muszlowy, rysę czarną, twardość 3-4 w skali Mohsa, gęstość 1,30-1,35 g/cm^3. Nietrudno go rozpoznać – pali się jak każdy gatunek węgla. Lekko poddaje się obróbce, nawet ręcznej. Z tego jednak powodu jest nietrwały i ulega łatwo uszkodzeniom.

Gagat występuje w postaci wkładek w skałach osadowych (łupkach, piaskowcach) oraz towarzyszy węglom brunatnym.

Najbardziej znane złoża gagatu występują w Wielkiej Brytanii w pobliżu miasta Whitby. Wydobywa się go także we Francji w departamencie Aude, w Hiszpanii w prowincji Asturia, w USA w stanie Utah, w RFN w okolicach Wirtembergii, na Krymie i Kaukazie.

W Polsce gagat znajduje się pod wsią Zameczek koło Opoczna i w okolicach Odrowąża koło Końskich. Minerał ten zawsze trafi do zbiorów kolekcjonera lubiącego obrabiać zbierane kamienie.

MD

Muzeum dla Jana Pawła II

Wśród placówek zrzeszonych w Stałej Konferencji Muzeów, Archiwów i Bibliotek Polskich na Zachodzie (patrz „Odkrywca" nr 5/99) jest Ośrodek Dokumentacji Pontyfikatu Jana Pawła II. Mieści się w Domu Polskim w Rzymie, otwartym przez papieża 7 listopada 1981 roku.

Ośrodek gromadzi dokumentację związaną z działalnością Jana Pawła II. Zbiory obejmują dokumenty papieskie, książki, albumy i publikacje wydawane w różnych krajach świata, fotografie, nagrania filmowe i dźwiękowe. Są również działy numizmatyczny i filatelistyczny. Do muzealnej kolekcji trafiają dary i pamiątki przekazywane Janowi Pawłowi II podczas jego podróży i audiencji. Ośrodek Dokumentacji Pontyfikatu Jana Pawła II prowadzi także działalność wydawniczą, realizuje filmy o tematyce papieskiej, organizuje wystawy.

Jak nas poinformował ks. dyrektor Michał Jagosz, Ośrodek czynny jest od poniedziałku do piątku w godzinach od 9.00 do 13.00, z wyjątkiem tygodnia Bożego Narodzenia, Wielkanocy oraz miesięcy wakacyjnych, czyli lipca i sierpnia.

Adres:
Via Cassia,
1200-00189 Roma
Italia

Tajna lista – Sztutowo

Przy okazji pobytu na Mierzei Wiślanej postanowiłem zidentyfikować pozycję 47. z „Wykazu obiektów opuszczonych i niewłaściwie zagospodarowanych" (patrz „Odkrywca" nr 1/99). Przypomnijmy: *Gdańsk-Sztutowo. W Sztutowie znajdują się dwa obiekty: 1. Była fabryka broni (budowa nie zakończona). 6 hal o wymiarach 36 x 11, 32 x 16, 35 x 20, 70 x 50 i 70 i 50. Dwie ostatnie hale o dł. 70 m połączone były halą o dł 24 x 16, tworząc podkowę. 2. Obiekty w niemieckim obozie koncentracyjnym (Sztutowo). Teren o powierzchni 1,5 km², poprzecinany drogami z kostki granitowej. Dwie hale o wymiarach 104 x 25 m, inne mniejsze. Łączną powierzchnię hal oszacowano na ok. 7000 m².*

Pierwsze kroki skierowałem na teren obozu koncentracyjnego Stutthof. Dzięki pomocy pracowników Muzeum ustaliłem, że hale, o których wspomina autor listy, w większości dziś nie istnieją. Zostały rozebrane tuż po wojnie, a jedna – kilka lat temu. Oglądając plan obozu, sporządzony przez jednego z więźniów po zakończeniu wojny, zwróciłem uwagę, że kształt podkowy miał tylko jeden budynek, tzw. „nowej kuchni". Jego wymiary nie pasują jednak do tych podanych w wykazie. Natomiast wymiary 104 x 25 m odpowiadają mniej więcej wielkości budynków obozowych dziś znajdujących się poza ogrodzeniem obozu-muzeum, a wykorzystywanych jako magazyny zbożowe. Zachowane są w bardzo dobrym stanie; zapewne dlatego, że cały czas po wojnie miały gospodarza i użytkownika. Obok tych budynków na planach widnieją dwa inne, ale w 1953 r., kiedy spisywano listę, prawdopodobnie były już rozebrane. Można w każdym razie stwierdzić, że opis terenu i obiektów obozu zawarty w punkcie 2. tajnej listy jest zgodny z rzeczywistością.

Widok na fabrykę Eppa od strony Wisły Królewskiej

Plan obozu koncentracyjnego Stutthof

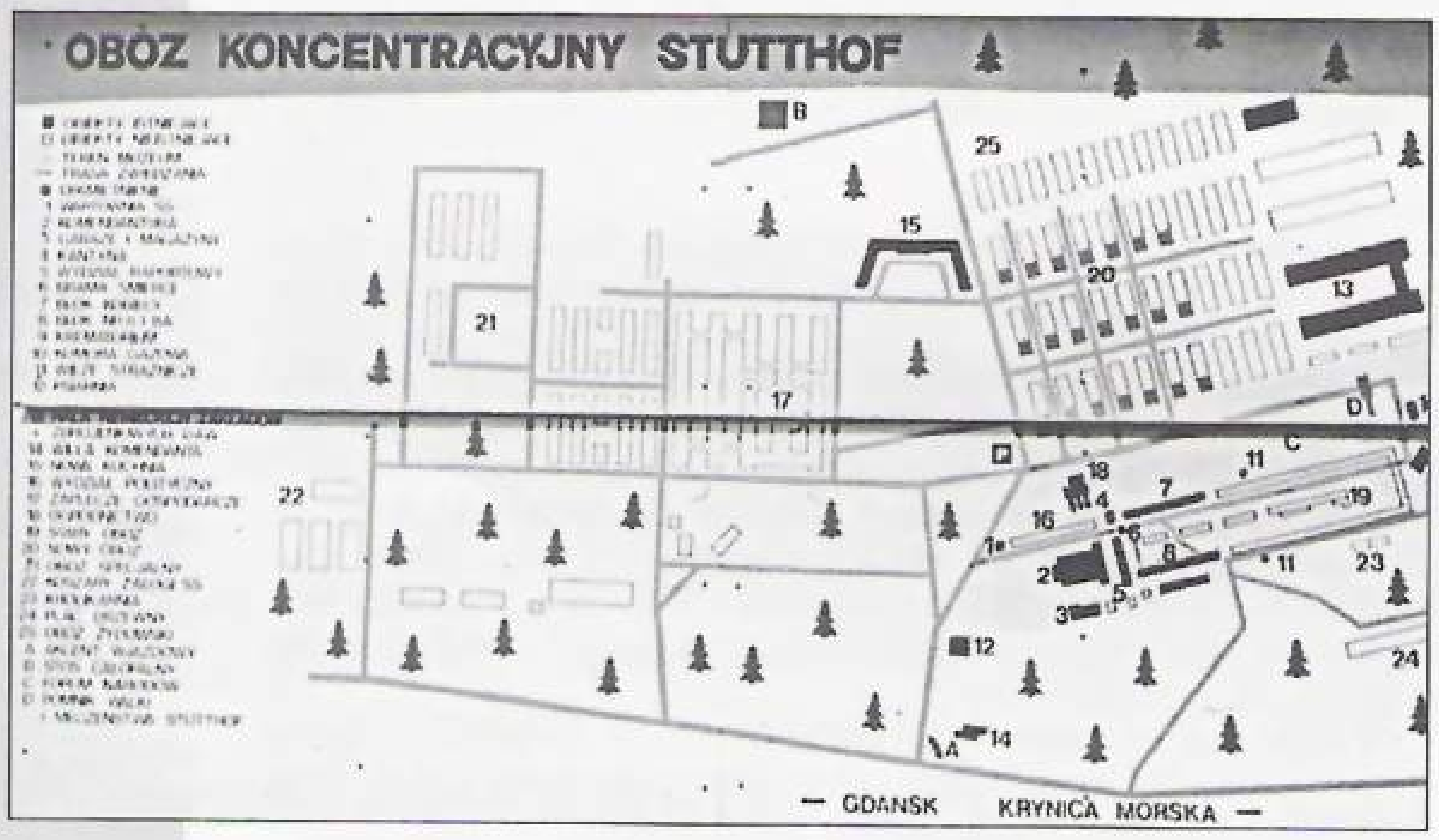

Intrygował mnie jednak opis umieszczony w punkcie 1. Jeden z moich rozmówców zwrócił mi uwagę na teren dawnej fabryki Eppa położonej nad Wisłą Królewską. Łatwo tam trafić. Z głównej drogi prowadzącej przez Sztutowo na ostrym zakręcie należy skierować się w stronę Groszkowa i po przejechaniu około stu metrów, przed zwodzonym mostem na Wiśle, skręcić w prawo. Po kolejnych stu metrach wjedziemy na teren fabryki. Dwie hale po lewej i prawej stronie drogi to właśnie jej pozostałości. Dalej znajdują się parterowe baraki, które podobno pełniły funkcję magazynów. Wydaje się, że mogą one odpowiadać opisowi podanemu przez autora listy. Trudno to jednak dziś zweryfikować w sposób ostateczny – część obiektów rozebrano, pobudowano także nowe. Teraz mieszczą się tutaj warsztaty, hurtownia materiałów budowlanych, zakład metalowy, stolarnia. Warto zatrzymać się przy nowo wybudowanym ośrodku zdrowia. Przechodząc obok niego w kierunku rzeki dojdziemy do wału, który kryje około stumetrowej długości betonowy schron przeciwlotniczy. Wejścia do niego znajdują się właśnie w sąsiedztwie wspomnianego ośrodka. Zapewne mieli się tu chronić pracownicy fabryki. Obecnie obiekt jest zaniedbany, zanieczyszczony, a na dnie stoi mniej więcej dziesięciocentymetrowa warstwa wody.

Fabryka Gerharda Eppa początkowo była tartakiem, a po jego sprzedaży została przekształcona około 1942 r. w przedsiębiorstwo produkcji zbrojeniowej. Od 1943 r. nazywała się Gerhard Epp, Maschi-

Obiekt oznaczony na planie numerem 13

Budynki „nowej kuchni"; na planie – nr 15

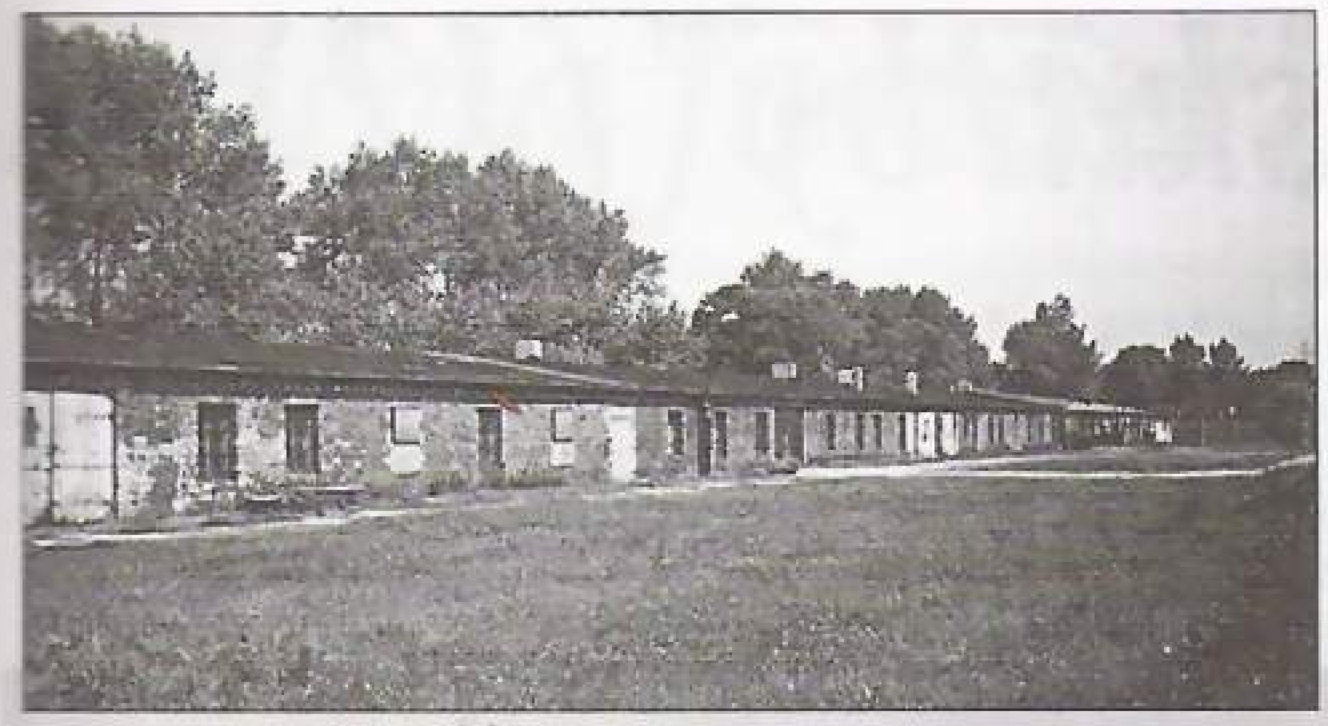

Zabudowania dawnej fabryki Eppa

nenfabrik Stutthof-Danzig Kraftanlagen und Pumpenanlagen, Heizunge für Wasser und Dampf Stehlbau Elektrische Licht und Kraftanlagen. Od 1942 r. zatrudniała więźniów obozu Stutthof – początkowo pięćdziesięciu, a pod koniec 1944 r. pięciuset. Więźniowie ci od podstaw zbudowali fabrykę amunicji. Do końca 1944 r. zdołano uruchomić tutaj produkcję obudów do granatów, zapalników, łusek karabinowych. Klęski Niemców na froncie wschodnim nie pozwoliły fabryce na pełny rozwój. Została zlikwidowana na początku 1945 r. i przeniesiona do Niemiec, do miejscowości Preetz w Holsztynie. Warto w tym miejscu przypomnieć, że prace na cele zbrojeniowe były również prowadzone w samym obozie. Prawdopodobnie w wymienionych wyżej dwóch halach uruchomiona została w połowie 1944 r. filia zakładów lotniczych Focke-Wulfa Gmbh z Bremy. Zaszyfrowano ją pod nazwą Holzbau AG. Produkowano tu części do samolotu myśliwskiego o kryptonimie Ta-152, który miał być montowany w zakładach Focke-Wulfa w Malborku. W jednej z hal montowano przednią część kadłuba, a w drugiej inne jego elementy. Produkcja ta również z powodu klęski Niemców nie została rozwinięta. W 1945 r. ewakuowano obrabiarki, a resztę maszyn wywieźli prawdopodobnie Rosjanie. W obozie funkcjonowała poza tym szwalnia, w której naprawiano odzież wojskową oraz szyto futrzane kamizelki, kurtki, marynarki i płaszcze m.in. dla Wehrmachtu i Luftwaffe, warsztat szewsko-rymarski, gdzie naprawiano dla Wehrmachtu buty, plecaki, ładownice, futerały itp., warsztat rusznikarski, zajmujący się naprawą i konserwacją karabinów dostarczanych z frontu.

Od jesieni 1944 r. jedno z komand montowało części motorów i maszyn do okrętów podwodnych oraz części do rakiet V-2. Była to filia zakładów F. Sichau Gmbh z Elbląga.

Opisana wyżej działalność obozu Stuthof jest mało znana i warto o niej pamiętać zwiedzając funkcjonujące na tym terenie muzeum i oglądając wspomniane obiekty.

Tekst i zdjęcia
Marek Dudziak

W artykule wykorzystano informacje zawarte w książce wydanej w 1999 r. przez Muzeum w Sztutowie: Marek Orski, *Niewolnicza praca więźniów obozu koncentracyjnego Stutthof w latach 1939-45.*

Schron przeciwlotniczy na terenie fabryki. Wejście znajduje się w sąsiedztwie ośrodka zdrowia.

W poszukiwaniu straconego czołgu

W całym kraju nie ma ani jednego pojazdu bojowego wrześniowej armii. Przed drugą wojną światową Polska produkowała lekki czołg 7 TP z silnikiem diesla, nazywanym niepalnym – łącznie wyprodukowano ich około 160. Brak również opancerzonego transportera karabinu maszynowego typu TK i TKS, zwanego tankietą, chociaż wykonano około 560 sztuk. Maszyny te pełniły w czasie wojny funkcję czołgów. TK stoi w muzeum w Belgradzie, a TKS w Muzeum Wojsk Pancernych w Kubince koło Moskwy. Przed wojną Polacy produkowali nie tylko czołgi, pojazdy transportowe, ciągniki artyleryjskie, ale przeprowadzali także doświadczenia z nowymi rodzajami uzbrojenia. Między innymi skonstruowany został prototyp urządzenia do otwierania ognia z karabinów maszynowych. Miało ono być zamontowane między Juratą a Helem do obrony bazy polskiej floty. W nocy działało na podczerwień, a w dzień na fotokomórkę. Najważniejsze części tego urządzenia w 1939 roku przetransportowano na Hel i tam zakopano. Do dziś nie zostały odnalezione.

Poszukiwaniem tankietek i innych pojazdów bojowych z 1939 roku zajmuje się od dawna już Jan Tarczyński. Mieszka od początku lat osiemdziesiątych w Londynie i jest dyrektorem biura byłego prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego. Jest również członkiem Rady Instytutu Polskiego i Muzeum im. Generała Sikorskiego, Polskiego Towarzystwa Historyków Techniki w Warszawie, Polskiego Towarzystwa Naukowego i Polskiego Towarzystwa Historycznego w Wielkiej Brytanii oraz Rady Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni. Współpracuje z Bogusławem Wołoszańskim podczas produkcji filmów o polskich militariach. Pasjonuje się nie tylko bojowymi przedwojennymi maszynami. Między innymi dzięki niemu w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie znalazł się motocykl „Sokół" 600. Jan Tarczyński jest też prezesem i jednym z założycieli Fundacji Ochrony Zabytków Militarnych Polskiego Towarzystwa Historycznego w Wielkiej Brytanii. Podczas poszukiwań korzysta z materiałów archiwalnych, lokalizując miejsca, gdzie toczyły się walki i gdzie wojsko się rozbrajało. Stwierdził na przykład, że przypuszczalnie 13 września 1939 roku w okolicach Chełmna zakopane zostały czołgi. Przy pomocy radiestetów i jasnowidzów nie udało się jednak ustalić dokładnie miejsca ukrycia, mimo że poszukiwania trwają od trzech lat. Pozostaje więc przebadać cały teren urządzeniami elektronicznymi. Jan Tarczyński nie traci entuzjazmu, ma nadzieję, że trafi wreszcie na polski czołg. „W najgorszym razie – stwierdza – będziemy budować repliki."

Opracowała JD

(na podstawie artykułu Elizy Olczyk *Gdzie jest czołg*, „Rzeczpospolita" – 18.03.1999 r.)

Zatopiony dzwon

Niedawno „Supernowości" (nr 77) doniosły, że Zbigniew Tabak, sołtys wsi Rzepnik w gminie Wojaszówka (województwo podkarpackie) zamierza odnaleźć cerkiewny dzwon. Na początku lat czterdziestych dzwon został podobno zdjęty z przycerkiewnej wieży i zatopiony w pobliskim stawie. Dziś ten staw już nie istnieje – zasypano go, więc szanse na zlokalizowanie i wydobycie dzwonu wydają się nikłe. Zbigniew Tabak postanowił jednak spróbować. Inicjatywę podjęło Muzeum Okręgowe w Krośnie. Dwunastego czerwca br. przeprowadzono akcję poszukiwawczą. Niestety – bez powodzenia. „Nie znaleźliśmy – powiedział z żalem Zbigniew Tabak. – Może leży głębiej? Jesteśmy zawiedzeni, ale nie rezygnujemy. Na pewno spróbujemy jeszcze raz, z lepszym sprzętem".

„Odkrywca" trzyma kciuki. Jeżeli zatopiony dzwon ujrzy znów światło dzienne, poinformujemy o tym na naszych łamach.

JD, mar

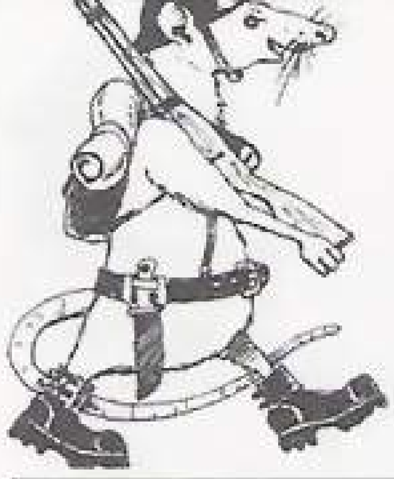

Niebezpieczne „skarby" (12)

Chociaż od wojny minęło ponad pół wieku, nasze ziemie wciąż kryją niewypały i niewybuchy. Można na nie trafić nie tylko szukając skarbów. Wiele osób nie umie tych wojennych „pamiątek" zidentyfikować i beztrosko wydobywa je z ziemi narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Będziemy więc systematycznie prezentować typy pocisków, granatów i bomb używanych w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej, aby ułatwić ewentualnym znalazcom ich rozpoznanie. Przypominamy: przedmiotów, które tutaj przedstawiamy, nie wolno kolekcjonować, nie wolno ich w ogóle ruszać – to praca dla sapera.

GRANATY AUSTROWĘGIERSKIE Z OKRESU I WOJNY ŚWIATOWEJ

GRANAT TRZONKOWY M 17

GRANAT „TORPEDOWY" M 16

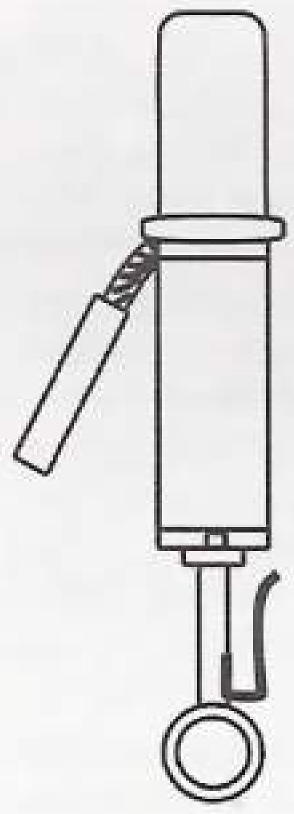

GRANAT „KUKURYDZIANY" M 16

GRANAT GAZOWY (ŁZAWIĄCY) T-Stoff

GRANAT „KUKURYDZIANY" KARABINOWY **M 16**

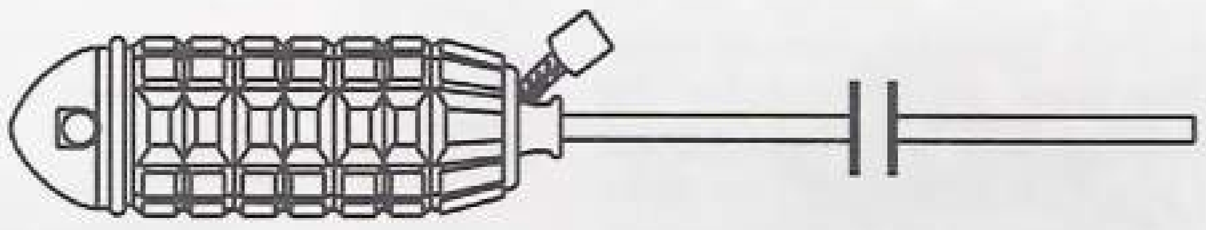

GRANAT KARABINOWY **M 16**

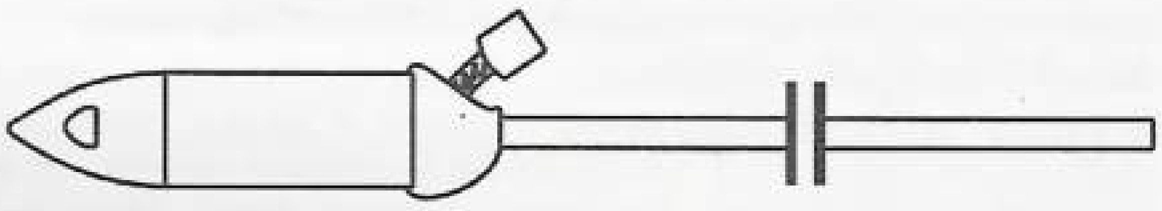

GRANAT KARABINOWY „TORPEDOWY" **M 16**

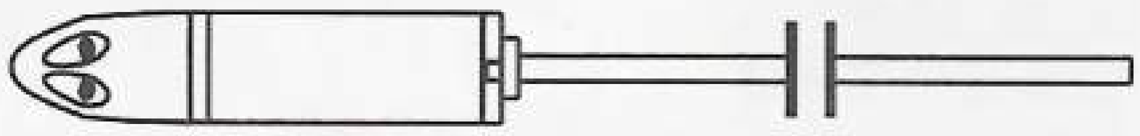

Sławomir Kordaczuk przedstawia

Militaria używane w życiu codziennym: wagi zwane na Podlasiu południowym przezmianami, na Białostocczyźnie bezmianami, w okolicach Sadownego przeżmiarami. Masę towaru zawieszanego na końcu haka odczytywano z podziałki na pręcie po jego wypoziomowaniu. Do wykonania takiej wagi kowale używali zwykle kawałka żelaza jako obciążenia. W tym wypadku użyto kuli kamiennej (pierwsza z prawej) i skorup granatów ręcznych – od lewej: polskiego granatu obronnego wz. KC z przełomu lat dwudziestych i trzydziestych, niemieckiego granatu obronnego i francuskiego granatu F-1 wz. 15. Ten ostatni przystosował do warunków pokojowych kowal z Repek Henryk Banaszczuk.

Imiona fortów

Wszyscy miłośnicy fortyfikacji znają Linię Maginota czy mur Carnota. Ilu z nich wie jednak, kim byli Maginot lub Carnot? O Forcie Radziwiłła, Grolmana lub Raucha słyszał każdy poznaniak, ale już mało kto potrafi powiedzieć, kim byli Radziwiłł, Grolman, Rauch. Spróbujmy uchylić nieco rąbka tajemnicy i poznać bliżej te osoby oraz forty, które nosiły ich imiona.

FORT RADZIWIŁŁ

Około 1857, kiedy budowa twierdzy trwała już od prawie trzydziestu lat, a jej największe dzieło (Fort Winiary) było ukończone od lat piętnastu, zbudowano kolejny element: sześcioboczny fort z basztą Montalemberta* – **Redutę Katedralną** (niem. Dom Reduit albo Dom Werk).

Rozbudowę umocnień wokół katedry planowano od 1831 r. Projektowano m.in. na południe od katedry lunetowy fort z basztą Montalemberta. W latach pięćdziesiątych zaplanowano jednak budowę na Tumie i Zagórzu wyodrębnionej Cytadeli Tumskiej, w związku z czym budowa fortu, projektowanego około 1850 roku, przeciągnęła się o kilka lat.

Reduta Katedralna na południowym krańcu wyspy Ostrów Tumski, utworzonej przez dwa przeciwpowodziowe kanały ulgowe Warty (Vorfluth Canal I i II), spięła zachodni i wschodni wał Cytadeli Tumskiej. Tuż obok fortu wiodła ważna droga komunikacyjna miasta – ziemna Grobla Berdychowska, przebiegająca w poprzek obu kanałów i łącząca lewobrzeżne Chwaliszewo z prawobrzeżnym Berdychowem.

W roku 1864 nastąpiła zmiana nazw dzieł twierdzy. Dotychczasowe wywodziły się od punktów terenowych, wsi i kościołów (np. Fort Winiary, Luneta Cegielni), a nowe od nazwisk pruskich generałów, najczęściej ministrów wojny Prus (Bonin, Boyen, Hake, Rauch, Rohr, Roon, Stockhausen, Strotha, Waldersee, Witzleben), dowódców twierdzy (Steinäcker), generalnych inspektorów Korpusu Inżynierów i Twierdz (Aster, Brese, Prittwitz) oraz dowódców V Korpusu Armijnego (Thümen, Röder, Grolman, Colomb, Brünneck, Tietzen, Steinmetz, Kirchbach). Redutę Katedralną nazwano **Fortem Radziwiłła**. Z uwagi na charakterystyczną barwę cegły, przez mieszkańców miasta fort zwany był Czerwoną Wieżą lub wręcz Czerwoną Krową. Przetrwał rozbiórkę twierdzy na początku XX w.; spalony w 1945 roku, rozebrany został kilka lat później.

Ziemny wał miał pięcioboczny narys, fosa była wypełniona wodą. Na dziedzińcu znajdowała się okrągła, czterokondygnacyjna redita z wewnętrznym dziedzińcem, 32 kazamatami artyleryjskimi na dwóch kondygnacjach bojowych, platformą artyleryjską osłoniętą krenelażowym murem oraz wjazdem z podnoszonym mostem. Komunikację pionową umożliwiały klatki schodowe w dwóch wieżach na dziedzińcu. Dziedzińca fortu i niewielkiej fosy wokół redity strzegło osiem dwukondygnacyjnych półokrągłych kaponier. Ciekawy był zespół bramny o niespotykanej konstrukcji w wale głównym, składający się z długiego (ponad 17 m) mostu nad fosą, bramy w murze tworzącym mały dziedziniec oraz drugiej bramy i sklepionej poterny prowadzącej na dziedziniec fortu. Obok bramy znajdowała się kaponiera skarpowa. Średnica redity – 40 m; wysokość z wieżami prawie 30 m(!); szerokość fosy na poziomie lustra wody – 10 m; średnica okręgu opisanego na drodze krytej przeciwstoku – 200 m.

KSIĄŻĘ ANTONI HENRYK RADZIWIŁŁ
herbu Trąby (1775, Wilno – 1833, Berlin)

W 1796 r. poślubił pruską arystokratkę z Hohenzollernów, księżnę Ludwikę (Luise) Fryderykę (1770-1836), wnuczkę króla Prus Fryderyka Wilhelma I (1688-1740), z którą miał ośmioro dzieci.

Przez całe życie konsekwentnie wiązał się z Prusami, usiłował m.in. odciągnąć Polaków od Napoleona, gdzie indziej lokując swe nadzieje na odbudowę Polski. W roku 1813 usiłował nawet „nawrócić" księcia Józefa Poniatowskiego na orientację propruską. W 1815 został namiestnikiem Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Była to funkcja reprezentacyjna – prawdziwą władzę sprawowało w Poznaniu Naczelne Prezydium. Działalność namiestnika może budzić dziś kontrowersje – nie zdobył się na obronę przed germanizacją Poznańskiego, choć dbał o jego kulturę i oświatę. Rola brata Michała w powstaniu listopadowym osłabiła jego pozycję, a w końcu zmusiła do dymisji.

Był kompozytorem-amatorem – tworzył pieśni, utwory fortepianowe, sceniczne, a nawet operę do Fausta Goethego; był dobrym wiolonczelistą – zaprzyjaźniony Chopin napisał dla niego *Introdukcję i Poloneza op.3*, a dedykował *Trio g-moll op.8*. Książę Radziwił był także rysownikiem i rytownikiem, uczniem J.P. Norblina i M. Płońskiego. W nielicznej spuściźnie znajdują się rysunki i sztychy – portrety (m.in. album z portretami uczestników kongresu wiedeńskiego), karykatury, typy charakterystyczne, sceny rodzajowe. Czas spędzał w berlińskim pałacu, rezydencjach w Poznaniu lub na wsi (w Antoninie k. Ostrowa Wlkp. i Ciszycy k. Jeleniej Góry). Warto zwiedzić pieczołowicie zachowany modrzewiowy pałacyk w Antoninie, zbudowany w latach 1822-24 przez Johanna Heinricha Häberlina wg projektu słynnego niemieckiego architekta Karla Friedricha Schinkla.

Siedziba namiestnictwa mieściła się w Poznaniu w budynkach dawnego kolegium jezuickiego przy Nowym Rynku (ob. Plac Kolegiacki), od 1793 używanych przez rząd. Znajdowała się tam także Rejencja, zbierały się Sejmy Prowincjonalne, Naczelne Prezydium, a część skrzydła południowego zajmowały apartamenty namiestnika. Przechodząc ulicą Chudoby warto pamiętać, że nosiła ona imię małżonki księcia – Ludwiki. Osoba ta powinna być dobrze wspominana w Poznaniu – z jej inicjatywy powstała w 1830 r. pierwsza wyższa (pogimnazjalna) szkoła żeńska (Szkoła Ludwiki), ona przyczyniła się do utworzenia w 1833 szpitala Sióstr Miłosierdzia (szarytek). Dla jej wygody założono park (ob. Chopina) na tyłach pałacu namiestnika oraz wytyczono Drogę Dębińską (ob. ul. Bema), ulubione miejsce przechadzek poznaniaków.

Losy rodu Radziwiłłów w XIX wieku odzwierciedlały tragiczne losy Polski. Książę **Michał Radziwiłł** (1778-1850) był uczestnikiem powstania kościuszkowskiego i kampanii 1812, za Królestwa Kongresowego został senatorem i generałem, a w 1831 objął naczelne dowództwo armii powstańczej. Po bitwie o Olszynkę Grochowską złożył dowództwo – do 1836 więziony był przez Rosjan. Synowie Antoniego, **Wilhelm** (1797-1870) i **Bogusław** (1809-73) ulegli zniemczeniu. Pierwszy był adiutantem króla Prus i generałem, cieszył się znacznymi wpływami na dworze, w 1847 został dziedzicznym członkiem Izby Panów, a w 1860 szefem korpusu inżynierów i pionierów oraz I Generalnym Inspektorem Twierdz. Karierę wojskową rozpoczął w Poznaniu (19 pp), potem służył w Berlinie, dowodził Twierdzą Torgau, IV Korpusem Armii w Magdeburgu i III w Berlinie. W jego ślady poszedł brat Bogusław, który przez kilka lat służył w wojsku oraz syn **Antoni** (1833-1904) – generał i adiutant królewski. **Ferdynand** (1834-1926), syn Bogusława, był do 1918 posłem do Reichstagu i długoletnim prezesem Koła Polskiego, a potem wszedł do polskiego Sejmu Ustawodawczego.

Uzdolniona artystycznie córka księcia Antoniego **Elżbieta** (Elise, 1803-34) była młodzieńczą miłością późniejszego cesarza Wilhelma I. Znane są portrety młodego Chopina jej autorstwa.

Mariusz Wojciechowski

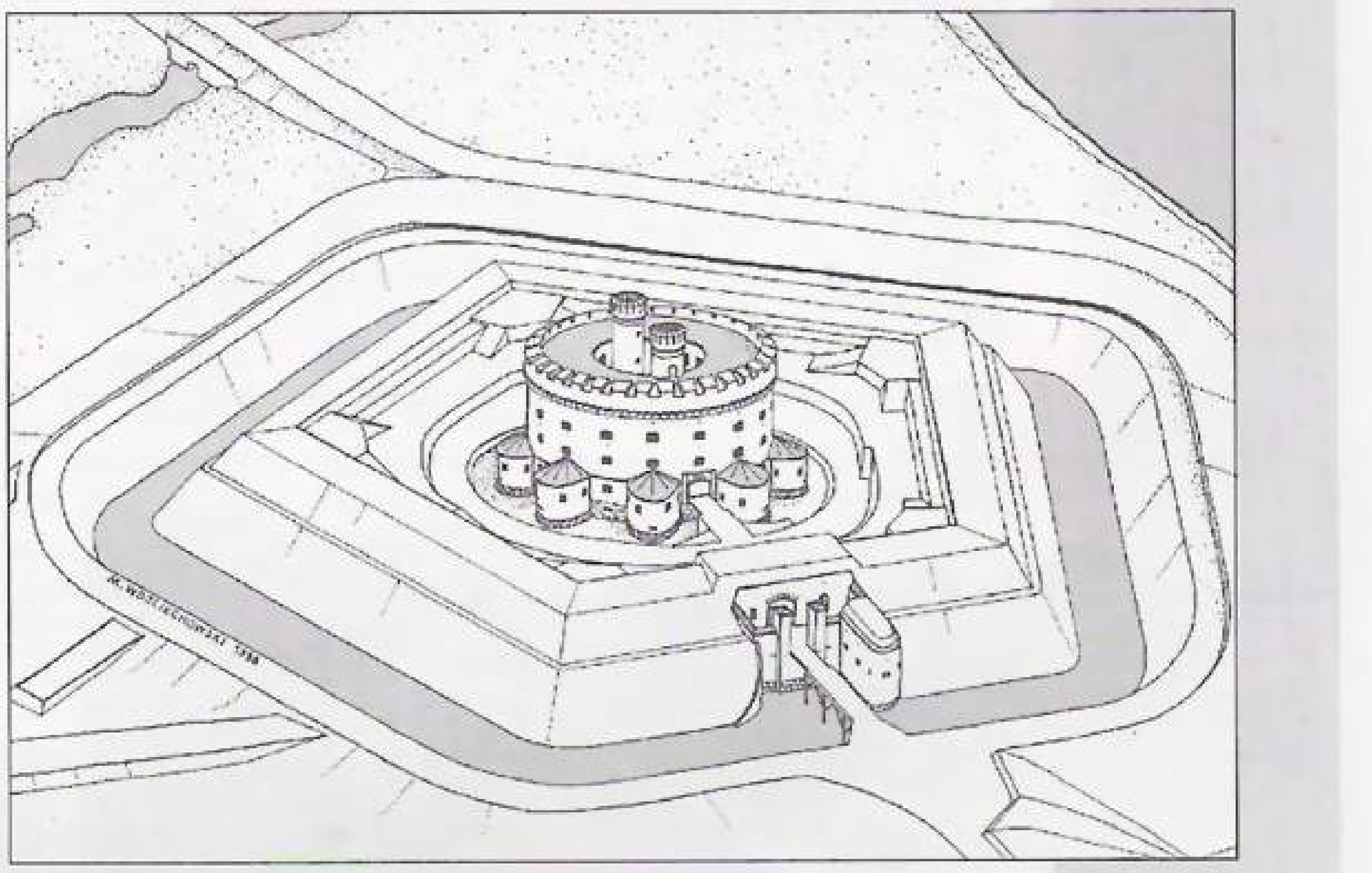

Widok od północy na Redutę Katedralną około roku 1857. W prawym górnym rogu Warta, u góry Grobla Berdychowska, z lewej rozlewiska po starych ciekach wodnych, właśnie przekształcane w Kanał Odpływowy II, u dołu niewielkie fragmenty wałów Cytadeli Tumskiej. **Rys.** Mariusz Wojciechowski 1998

* Baszta Montalemberta to stosowana w XIX wieku okrągła baszta artyleryjska, najczęściej kilkupiętrowa, z tarasem, często z wewnętrznym dziedzińcem. Budowana samodzielnie lub jako ośrodek fortów. Wielkim zwolennikiem baszt tego typu był Marc René Montalembert (1714-1800), francuski fortyfikator, teoretyk i prekursor systemu poligonalnego.

Wygony, Granice, Dębiny...

„Można być/ w kropli wody/ światów odkrywcą/ można/ wędrując dookoła świata/ przeoczyć wszystko" (Józef Baran – „Światy"). Sławomir Kordaczuk z pewnością należy do tych pierwszych, tych którzy nie tylko patrzą, ale i widzą. Wcale nie trzeba szukać daleko, żeby znaleźć. Okazuje się, że frapującym obszarem poszukiwań są... nazwy miejscowe. Znajomość ich historii w połączeniu z penetracją archiwów i starych map może przynieść bardzo ciekawe rezultaty.

W mojej rodzinnej miejcowości – Hołowczycach, wsi o długości pięciu kilometrów i znacznie obszerniejszych koloniach, jest wiele ciekawych nazw mających związek także z historią kraju. Pochodzenia samej nazwy Hołowczyce – jeszcze nie znam. Bardzo możliwe, że wiąże się ona z nazwiskiem. Otóż w Warszawie jest pałac biskupa Hołowczyca. A ostatnio, dzięki kierowcy rajdowemu Krzysztofowi Hołowczycowi, nazwa wsi nabrała nieco sportowego splendoru. W „Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich" moja wieś figuruje w Królestwie, natomiast dwie pozostałe o identycznej nazwie znajdują się gdzieś na Kresach.

Hołowczyce dzielą się na Stare i Nowe. Oficjalnie. Przez samych mieszkańców te Nowe nazywane są Dębinami, a ci, którzy tu mieszkają – dębińcami. Droga z tej części wsi prowadząca do Zabuża zwie się Dębówką lub Dębińskim Gościńcem, a to z powodu nigdyś rosnącego dębowego lasu, wykarczowanego podobno za cara, który osadził tu unitów przesiedlonych z wnętrza imperium rosyjskiego. Stąd zapewne dużo nazwisk kończących się na -uk (nie wyłączając niżej podpisanego). Ta część wsi jest młodsza. Ale w obydwu są miejsca zwane Mogiłkami: zapomniane i nie zbadane jeszcze przez archeologów dawne cmentarzyska na posesjach Tadeusza Budkiewicza (na Dębinach, porośnięte sosnowym lasem) i Stanisława Mysłowskiego. Na Mogiłce drugiej znakomicie zjeżdżało się zimą na sankach i nartach z racji znacznej wysokości, jaka w okolicy nieczęsto się zdarza. Obydwa miejsca mogą sugerować stare osadnictwo.

Wygonem do Skuhyńca fot. Sławomir Kordaczuk

Gdy pole ciągnie się na długości – na przykład – bez mała trzech kilometrów, to w wyjaśnieniu dzieciom, dokąd powinny się udać i do jakiej pracy, pomaga nazwanie poszczególnych miejsc. Na polu mego dziadka jest miejsce zwane Sadkiem, mimo że nikt z żyjących nie pamięta rosnących tam kiedyś drzew owocowych. Odległości określano wybierając takie punkty orientacyjne jak wiśnia na polu sąsiada, grusza u siebie lub duży głaz narzutowy, którego końmi nie dało się z pola usunąć.

Najłatwiej jednak orientować się w terenie dzięki sieci dróg. Jest kilka Granic, których część stanowi echo dawnych podziałów administracyjnych kraju. Inne – oddzielają nasze pola od pól sąsiednich wsi lub las prywatny od państwowego, inaczej zwanego rządowym, podzielonego na kwartały Liniami. Jedna z tych dróg leśnych zwie się Kolejką. Jeszcze w wielu gospodarstwach można znaleźć szyny lub inne elementy z torów rozebranej linii wąskotorowej.

Ze wsi do lasu można dojechać Ciarciaszką, zwaną tak od rosnącej przy niej tarniny (na Podlasiu określanej mianem ciarno; stąd korona cierniowa), Zygmuntówką (mieszkał przy niej nieżyjący już Zygmunt Czerko) lub Korolówką. Ta ostatnia nazwa, wedle lokalnej tradycji, wiąże się z osobą królowej Bony, która ową drogą jechała na sejmik do Mielnika, gdy Hołowczyce należały do Ziemi Mielnickiej. Drogę pierwotnie zapewne zwano Królówką, ale okres zaboru rosyjskiego przyczynił się do zmiany nazwy i tak zostało. Przy okazji warto nadmienić, iż jakiś czas Hołowczyce były własnością lekarza królowej Bony.

Ja natomiast najbliżej miałem do lasu Wygonem. Odchodzi od niego w poprzek pól jedna droga zwana po prostu Dróżką, a druga – to Selisna. Jest też Selisna w innym miejscu, na Długich Rezkach. Obydwie charakteryzują się tym, że są głębokie i wyrywane przez bystro tu spływające wody deszczowe lub z wiosennych roztopów. Wygon prowadzi do lasu zwanego Skuhyńcem. Najstarsi opowiadali, że w tym lesie stał kiedyś dwór, którego właściciel tak się właśnie nazywał. Na radzieckich mapach sprzedawanych na bazarach w czasie, kiedy dokładne podziałki były u nas zakazane, nazwa ta podawana jest jako Skużyniec.

Las ów ma swoje osobliwości. Przy Wygonie są Jamy. Tutaj w dołach wykopanych w piaszczystym gruncie przechowywano ziemniaki. Ostatnim, który preferował tę formę kopcowania, był Józef Tobota, weteran wojny polsko-bolszewickiej, nie uznający w jadłospisie takiego wynalazku, jakim są pomidory. Był skarbnicą wiedzy o historii wsi, barwnie opowiadał również o pieszej ucieczce w 1920 roku z niewoli bolszewickiej i wszystkim, co wówczas po drodze zobaczył.

Na rzut kamieniem od Jam są Glinki. Stąd pochodził materiał do budowy pieców, a w gliniankach nocami kopią się dziki. Tutaj jest też jedno z kilku miejsc występowania kamieni pokrytych szkliwem, będących pozostałością piecowiska po produkcji wapna z kredy wydobywanej w Kornicy lub Mielniku. Nieco dalej jest Polowa Piec, obok – podmokły teren, a na nim wzgórek z resztkami cegieł. Tutaj z wykrywaczem można poszaleć. Bo to karczma. Jedna z trzech przy szlaku z Sarnak do Zabuża.

Miejsca w lesie wyróżniające się większymi drzewami zwykle nazywa się Choinami. Takie są i u nas, choć coraz częściej piły i siekiery sprawiają, że nazwę uzasadnia tylko pamięć ludzka i dużej średnicy pieniek. Na polu sąsiada Tadeusza Daniluka przed Choinami jest Łużyk, miejsce wilgotniejsze od otoczenia, porosłe trzcinami. Zdarzyło mi się wyorać między Łużykiem a dębem część prześlika wykonanego z opalu polskiego – przedmiotu pozwalającego archeologom na identyfikację grobów kobiecych. Ten, według specjalistów, pochodzi sprzed czterech i pół tysiąca lat. Drugi Łużyk jest na łączce między zabudowaniami Bułaskiego i Bąka na Dębinach. A może raczej na smugu, bo na Podlasiu łąka to ta, z której pochodzi siano. A na smugach pasie się krowy, tutaj grzebią się kury i jeśli jest nieco wilgoci – taplają gęsi.

W lesie państwowym są trzy ciekawe miejsca: Grabowe Rowy (mroczne jary porośnięte grabami), wzniesienia zwane Czaplami i Kozi Rynek. Podobno do ostatniego z wymienionych miejsc, według legend, dociera podziemny tunel wiodący pod dnem rzeki Bug od Góry Zamkowej w Mielniku. Zakątek to tak dziewiczy jak w puszczy i płynie przez niego Borowa Rzeczka. A nazwa związana jest z sarnami, na Podlasiu – kozami. Podobnie jak Kozik na koloniach. Tam na grzyby chodzą ci, którzy mieszkają na Końcu (wsi).

Skutkiem reformy rolnej są Rezki, obszary podzielone na kilkumetrowej szerokości piaszczyste poletka przy lesie, wyrównujące przydziały poszczególnym rolnikom. Nazwa pochodzi od resztek. A więc mamy Rezki Krótkie, Długie i prostopadle do nich ciągnące się Poprzeczne. W znacznym stopniu są już zalesione lub leżą odłogiem, ponieważ zwierzyna leśna miała więcej korzyści z upraw niźli rolnicy. Inaczej rzecz się ma z Rezkami Dębińskimi. Są to wąskie paski łąk przydzielone dębińcom mieszkającym dalej od rzeki i tym samym – od łąk. Inni rolnicy, pokrzywdzeni w areale lasu, dostali przydział na Działkach, ku którym wiedzie wspomnienia już Ciarciaszka. Niedaleko od Działek w 1941 roku Niemcy urządzili przed inwazją na ZSRR polowe magazyny amunicji. Front szybko posunął się naprzód i do tej pory w podmokłym gruncie tkwią co większe kalibry amunicji artyleryjskiej.

Ważną pozycję w poznawaniu historii rodzinnej miejscowości stanowią przydomki mieszkańców przechodzące z pokolenia na pokolenie. Są echem jakiegoś dawnego imienia czy nazwiska w rodzie albo zawodu, albo niekiedy przywary jednego z przodków. Zdarzają się też przypadki czysto praktyczne. Bo jak odróżnić trzech facetów, z których każdy nazywa się Stanisław Zubkowicz i każdy jest synem Jana? Otóż jeden ma przydomek Janów, drugi Janiów, a trzeci Janeczków.

O tym wszystkim dowiedziałem się w epoce przedtelewizyjnej, gdy – zwłaszcza zimą – był zwyczaj wieczorków. Wtedy odwiedzano się wzajemnie i opowiadano różne ciekawe historie. Szczególnie lubiłem słuchać wspomnianego już Józefa Toboty i Jana Dudziuka, uczestnika wyda- ☞

Tajemnica poliptyku Jana van Eyck'a

Gandawa, miasto w Belgii (Flandria). To w tym miejscu, w katedrze św. Bawona znajduje się jedno z największych dzieł malarstwa niderlandzkiego – Ołtarz Gandawski (Ołtarz Baranka Mistycznego). Jest to olbrzymi poliptyk o wymiarach 370 x 495 cm, składający się z 24 kwater, namalowany farbami olejnymi na drewnie. Jego twórcami byli Hubert (co do jego istnienia uczeni nie są zgodni) oraz Jan van Eyck. Za datę powstania dzieła przyjmuje się rok 1432. Z malowidłem tym wiąże się jedna z największych tajemnic historii, która do dziś nie została wyjaśniona.

Istnieje wiele hipotez związanych z najsławniejszą pracą van Eyck'ów. Jedne mówią, że obraz zawiera ezoteryczne przesłanie, które daleko wykracza poza oficjalne dogmaty Kościoła katolickiego, inne – że kryje tajne wskazówki odnośnie miejsca ukrycia jednego z najbardziej mistycznych symboli chrześcijaństwa – Świętego Graala. Jeszcze inne łączą obraz z sekretnym zakonem rycerskim, który został zlikwidowany z polecenia Kościoła. Wreszcie – losy obrazu wiąże się z grupą fanatycznych nazistów, którzy interesowali się nim w stopniu znacznie wyższym od dużego. Oni to podobno zlecili pułkownikowi Skorzennemu kradzież dzieła, ale o tym później.

Kluczową datą w tej historii jest rok 1934. W nocy z 10 na 11 kwietnia z bocznej kaplicy została skradziona kwatera wielkości 145 x 52 cm. Jej awers przedstawiał „Sprawiedliwych Sędziów", rewers – „Św. Jana Chrzciciela". Brak zabezpieczeń ułatwił złodziejowi zadanie. Kilka tygodni później biskup Gandawy otrzymał list, w którym nieznany informator stwierdził, że zwróci ukradzione dzieło w zamian za milion franków belgijskich. Pismo to pozostawiono bez odpowiedzi. Miesiąc później nadszedł drugi list. Oto jego fragment:

W załączeniu znajduje się kwit z przechowalni bagażowej, po którego okazaniu zostanie wręczona tablica ze św. Janem Chrzcicielem. Proszę nią dysponować. W ciągu trzech dni podam adres pewnej osoby, której należy doręczyć paczkę z uzgodnioną wcześniej sumą. Proszę zarządzić, co należy, aby paczka została zapieczętowana i przekazana bezpośrednio wymienionej osobie. Następnie, gdy banknoty zostaną wymienione na inne, damy znać, gdzie będzie można odebrać „Sprawiedliwych Sędziów". Tym sprawa zostanie zakończona. Dla uniknięcia dalszych nieprzyjemności radzę nie rozgłaszać sprawy zwrotu „Św. Jana Chrzciciela". Zapewniam Waszą Wielebność Monssignore o swoim wysokim poważaniu... Jeżeli nie otrzymam odpowiedzi, to zniszczę drugą tablicę...

Po tym liście władze kościelne zdecydowały się na współpracę, a kanonik katedry św. Bawona pojechał odebrać z przechowalni fragment poliptyku ze św. Janem Chrzcicielem. Po kilku dniach anonimowy szantażysta przesłał dalsze instrukcje dotyczące milionowego okupu:

(...) Należy wpłacić 1 milion franków w następujący sposób: kwota musi się składać z banknotów po 10 tysięcy franków każdy. Z tego trzeba zrobić paczkę, opatrzyć ją własną pieczęcią, a następnie zdeponować u Jego Wielmożności Meulepas'a na plebanii św. Wawrzyńca w Markgravelei koło Antwerpii. W załączeniu przesyłam oddartą stronę gazety, pasującą do tamtego kawałka. Dopiero potem należy wręczyć paczkę. Osobie tej nie wolno zadawać żadnych pytań ani wciągać w rozmowę i nie należy jej zatrzymywać. Kiedy pieniądze puszczę w obieg, w dniu, który sam wybiorę, podam miejsce przechowywania drugiego obrazu.

Rokowaniom pomiędzy przedstawicielami Kościoła a złodziejem „dyskretnie" towarzyszyła belgijska policja, która w tej historii odegrała rolę raczej niezbyt chlubną. Korespondencja z szantażystą przedłużała się, policja popełniała błędy, a przedstawiciele Kościoła próbowali nawet oszukać sprawcę tej zuchwałej kradzieży.

Śledztwo prowadzono opieszale. Policja zbierała się w ciemnościach, w katedrze widywano światło około północy, jednak rezultaty dochodzenia były znikome. Podobno znalazł się jeden świadek (zawodowy złodziej), który widział dwóch ludzi w ciemności owej krytycznej nocy – z 10 na 11 kwietnia 1934 roku. Będąc w alejce obok katedry i sam szykując się do skoku sprawdzał, czy ma wolne pole do działania. Gdy zobaczył chevroleta, a obok niego dwóch kręcących się ludzi z dość dużą paczką, sam zaofiarował się do pomocy. Ale cóż to za świadek, który sam jest złodziejem?

Sprawców kradzieży pewnie nigdy byśmy nie poznali, gdyby nie seria tajemniczych zgonów i sekretne wyznanie złożone na łożu śmierci przez jednego z obywateli Gandawy.

Złodziei było prawdopodobnie trzech: Achilles de Swaaf, Lievens oraz Arsen Goedertier, zwany Arsen de Benevolent. Najbardziej znanym z tej trójki był Goedertier. Według jednych – broker zajmujący się sztuką i polityką, według innych – bankier, mecenas sztuki i powszechnie szanowany obywatel. On to przemawiając 24 listopada na zebraniu organizacji katolickiej nagle zemdlał. Czując nadchodzącą śmierć wyjawił swemu przyjacielowi – adwokatowi de Vos, że to on jest sprawcą kradzieży i że tylko on wie, gdzie ukryty został panel. Dziwnym zrządzeniem losu de Vos nie poinformował o tym policji, tylko wraz z czterema innymi urzędnikami państwowymi postanowił zachować rzecz w tajemnicy. Przeszukując dom Goedertiera de Vos odkrył na biurku znaczną część korespondencji do biskupa, w której znajdowała się informacja, że panel schowano „w miejscu publicznym".

Tej samej nocy umierają Achilles de Swaaf oraz Lievens. Jako przyczyny zgonu podano: Goedertier – atak serca, de Swaaf – udar mózgu, Lievens – przepuklina żołądka. Czyżby to był tylko zadziwiający przypadek?

W 1963 roku Jos Cels sporządził oficjalną dokumentację tej sprawy, a 1 listopada 1965 roku wyznaczono pół miliona franków nagrody za odnalezienie obrazu. Tajemnicą „Sprawiedliwych Sędziów" zajmuje się do dzisiaj wielu ludzi, wśród nich jest m.in. były komisarz policji Carel Mortier, który bada tę sprawę od ponad czterdziestu lat. Jeden z detektywów-amatorów, próbujący również wyjaśnić zagadkę, zauważył pewną analogię pomiędzy „wyczynem" Arsena Goedertiera a kradzieżą popełnioną przez fikcyjną postać, stworzoną przez Maurice'a le Blanc'a – Arsena Lupina. Zbierając informacje, które mogłyby pomóc w odnalezieniu obrazu, natrafił w sklepie z antykami na książkę autorstwa Valeer de Pauw „Secret in a double wall". Była to książka o „Sprawiedliwych Sędziach", która po otworzeniu okazała się atrapą. Tylko na ostatniej stronie widniał szyfr złożony z kropek i cyfr.

```
 4..2.     .3..     .11..
 3.  .2.     .4..      .1.
.11. .422.   .4.2   .1.2..4.2.
 3.  .2  .5 ..2.2      .55.
```

Układ tego szyfru był analogiczny do szyfru zamieszczonego w książce Maurice'a le Blanc'a „L'Aiguille Creuse". (U nas ukazała się pod tytułem „Arsen Lupin. Zbrodnia w zamku. Tajemnica królowej".) To doprowadziło detektywa do rozszyfrowania kryptogramu. W miejsce liczb podstawił samogłoski – tak jak uczynił to twórca dżentelmena-włamywacza – w miejsce kropek wpisał zaś spółgłoski. Po przetłumaczeniu na polski brzmi to mniej więcej tak:

Pod katedrą dzień jest krótki
Gdzie spotyka się krowa z ptakiem

Dziwnie brzmiący dwuwiersz wskazuje, zdaniem poszukiwacza, na pewien budynek usytuowany pomiędzy Cowstreet („ulicą krowią") a Birdmarket („ptasim rynkiem"). Dom ten znany jest jako dom braci van Eyck'ów. Czy możliwe, aby to była tylko nieszkodliwa fantazja?

Jeszcze inne rozwiązanie podaje były komisarz Carel Mortier, który uważa, że skradziona tablica ukryta jest pod podłogą w katedrze św. Bawona. Niestety, w 1935 roku podłogę pokryto kolejną warstwą desek pod instalację organów. O ukryciu paneli w kościele świadczyć ma podobno znaleziony w nim świstek wyrwany z modlitewnika z napisem „de Benevolent" na jednej stronie i ze słowami „Agnus Dei" – z drugiej.

Agnieszka Ptak

rzeń drugiej wojny światowej, który jest jednym z bohaterów mojej pierwszej książki z cyklu „100 spotkań z historią".

Hołowczyce leżą przy trasie Lublin – Białystok. Z sąsiednimi wsiami łączy je Chłopkówka (do Chłopkowa), Płoskówka (do Płoskowa), Klepaczówka (inaczej zwana Klepaczowskim Gościńcem), wiodąca do Klepaczewa i droga przez Panikwy, którą można dojechać do Serpelic. Na mapach w skali 1:25 000 mieści się na czterech arkuszach 265.32, 265.34, 265.41, 265.43. Inne miejscowości mają podobne ciekawostki. Warto o nich pamiętać przy nadawaniu nazw osiedlom lub uliczkom miejskich blokowisk. Teraz przez okno widzę osiedle mieszkaniowe usytuowane na dawnych Wylewach, a zwie się osiedle Młynarska od młyna, którego też już tu nie ma.

Sławomir Kordaczuk

Kolekcja,

„Nigdy w życiu nie byłem tak zdumiony" – powiedział wynalazca fonografu Thomas Alva Edison usłyszawszy własny głos odtworzony przez to urządzenie.* Dziecięcy wierszyk *Mary had a little lamb* wyrecytowany przez Edisona został zapisany i odczytany przez maszynę 6 grudnia 1877 roku. 19 lutego 1878 roku Edison otrzymał patent na swój wynalazek. Tak rozpoczęła się historia fonografii. Mniej więcej sto lat później bydgoski nauczyciel Adam Mańczak trafił na Jarmark Dominikański w Gdańsku. Wśród rupieci, na ziemi – jak dziś pamięta, w którym miejscu – zobaczył starą płytę gramofonową z napisem „Złota pantera". Tak rozpoczęła się historia jego kolekcji...

– Pamiętam, jak moja mama śpiewała tę piosenkę! „Złotą panterę" i wszystkie standardy przedwojenne... Właśnie dlatego kupiłem płytę. Ale nie miałem jej na czym odtworzyć, więc poszedłem na bazar bydgoski, żeby kupić gramofon. Przyniosłem, taki na korbkę. I płyta zagrała... Jeszcze tego samego lata pojechałem znowu na Jarmark Dominikański (trwał wtedy chyba ze trzy tygodnie) i przywiozłem następne płyty. To był początek – jeden gramofon, kilkanaście czarnych krążków i słabość do muzyki. Nie znałem żadnych klubów kolekcjonerskich, nie miałem żadnych źródeł, kontaktów, nic. To był mój prywatny świat.

Teraz Adam Mańczak, członek Warszawskiego Klubu Kolekcjonerów, ma ponad pięć tysięcy płyt, ponad czterdzieści urządzeń do ich odtwarzania – fonografów, patefonów i gramofonów, a także bogaty zbiór ikonograficzny, na który składają się przede wszystkim katalogi firm płytowych i libretta. To jedyna taka kolekcja w Polsce. Są tu prawdziwe perełki fonograficzne, unikaty na skalę europejską. W powiększaniu zbiorów bydgoskiemu miłośnikowi archiwaliów dźwiękowych pomagają szerokie kontakty w środowisku kolekcjonerskim, wśród antykwariuszy, a także osób handlujących starociami na bazarach. Nierzadko zdarza się – ktoś telefonuje z wiadomością, że ma coś interesującego i najpierw zwraca się do pana Adama. Można by to nazwać niepisanym prawem pierwokupu.

– Najciekawsze płyty Pathé, jakie posiadam, kupiłem dzięki pewnemu prywatnemu antykwariuszowi z Łodzi, który je dla mnie odłożył. To są bestsellerowe nagrania.

Kolekcja Adama Mańczaka obejmuje płyty od roku 1890 do 1960. Jest z imponującą starannością uporządkowana i skatalogowana – według firm fonograficznych i według tematów.

– Na początku zbierałem każdą płytę, która wydawała mi się ciekawa, ale przy pewnej ilości nastąpił już „kociokwik". Gdybym zbierał konkretny temat, na przykład głosy kobiece, sprawa byłaby prosta, ale ja jeszcze nie wiedziałem, na co się zdecyduję. Wszystko mnie interesowało – jako archiwum, jako stara rzecz. Więc wpadłem na pomysł, że najlepiej kolekcjonować płyty poszczególnych firm. Wyłapałem te firmy szybko, nawiązałem kontakty z innymi kolekcjonerami, potem dostałem książkę Ewy i Janusza Łętowskich (byłem zakochany w tej książce) i już się ukierunkowałem. Poszedłem w stronę wielotematowości i kiedy dziś na to patrzę, uważam, że dobrze zrobiłem. Mam dzięki temu takie ciekawostki jak płyty okolicznościowe – próbne, festiwalowe, nagrania przemówień, wierszy, głosów ptaków... Mam, na przykład, płytę metalową z nagraniem wiersza Broniewskiego, nieprawdopodobny unikat. Poza tym – nagrania humorystyczne, żydowskie, sakralne, rewie, piosenki filmowe, płyty wydawane przez Pierwszy i Drugi Korpus Polski w latach 1940-1946. No – bardzo różne.

Adam Mańczak zgromadził kolekcję, która nie ma sobie równych w Polsce
fot. ODKRYWCA

Przeglądam katalog tematyczny. Na równych prawach funkcjonują tu pieśni i utwory patriotyczne z lat 1900-1950 i marsze niemieckie od 1910 do 1939 roku; pieśni kościelne (1900-1939) i peerelowskie marsze ideologiczne (1945-1960); muzyka ludowa i operowa; piosenkarze polscy i zagraniczni. To jest po prostu historia muzyki i historia muzyką opowiadana.

Ważne miejsce w kolekcji zajmują polonika; W fonografii za polonik uważa się każdy nośnik dźwięku, który ma jakikolwiek element polskości.

– Może być płyta amerykańska sprzed 1918 roku, ale zawiera nagranie utworu Chopina i to też jest polonik.

Dzięki polonikom odkrywa się mało znane fakty, niekiedy zaskakujące.

– W okresie zaborów w Saksonii sprzedawano płytę „Boże coś Polskę..." Firmy niemieckie nagrywały piękne polskie utwory patriotyczne, bo chodziło im o zysk, a te płyty się sprzedawały. Przecież wielki Wagner stworzył swój poemat symfoniczny „Polonia" pod wpływem pieśni, które polscy żołnierze z powstań tam, pod Berlinem, śpiewali przy ognisku i płakali. Co śpiewali? „Rotę", „Boże coś Polskę..." i inne, pełne nostalgii i miłości do ojczyzny. W tym poemacie jest cała Polska. Aż się dziwię, że to Wagner napisał.

Adam Mańczak mówi o swojej kolekcji z dziecięcą wprost radością. Cieszy się ze zdobycia rzadkich czy też szczególnie ciekawych egzemplarzy, ale najważniejsze jest to, że może słuchać tych archiwalnych nagrań, w dodatku – odtwarzanych na własnym, oryginalnym sprzęcie.

– Każdą płytę się kocha, nieważne, ile kosztuje. Ja ich wszystkich słucham wiele razy, wracam do nich często, czyszczę, układam, opisuję... Pamiętam, jak po piętnastu chyba latach szukania dostałem wreszcie (w Bytomiu, nad ranem) kulkę diamentową i mogłem po raz pierwszy odtworzyć płyty patefonowe. Wróciłem do domu, kupiliśmy z żoną szampana i włączyłem... Nigdy tego nie zapomnę.

Z wieloma eksponatami wiążą się niezwykłe ludzkie historie, czasami wzruszające. Patefon z drewnianą tubą, wzór numer cztery, przywędrował do Bydgoszczy z Odessy razem z pierwszą właścicielką. Przeżył rewolucję 1905 roku, rewolucję październikową, dwie wojny i powstanie warszawskie. Aż trudno uwierzyć, że przez te wszystkie zawieruchy dziejowe właścicielka przedzierała się z patefonem i płytami i zdołała je ocalić. Kiedy w 1987 roku, z okazji 100-lecia płyty gramofonowej, Adam Mańczak miał wystawę w Muzeum Techniki w Warszawie, przyszli do niego starsi państwo. Przynieśli wojskowy gramofon walizkowy.

ze zbiorów Adama Mańczaka

Odwiedziliśmy wystawę p. A. Mańczaka wprawdzie z opóźnieniem (przepraszamy!) ale doprawdy ze wzruszeniem i zachwytem. Cieszymy się, że do światowej mafii kolekcjonerów płyt przybył tak wybitny członek i znawca. Zwróciliśmy uwagę na doskonały stan eksponatów oraz na wiele egzemplarzy płyt, będących wprost unikatami w skali światowej. Słowem, gratulacje, podziw i sympatia.

Ewa i Janusz Łętowscy

[illegible], 28 wrzesień 1991

tóra żyje

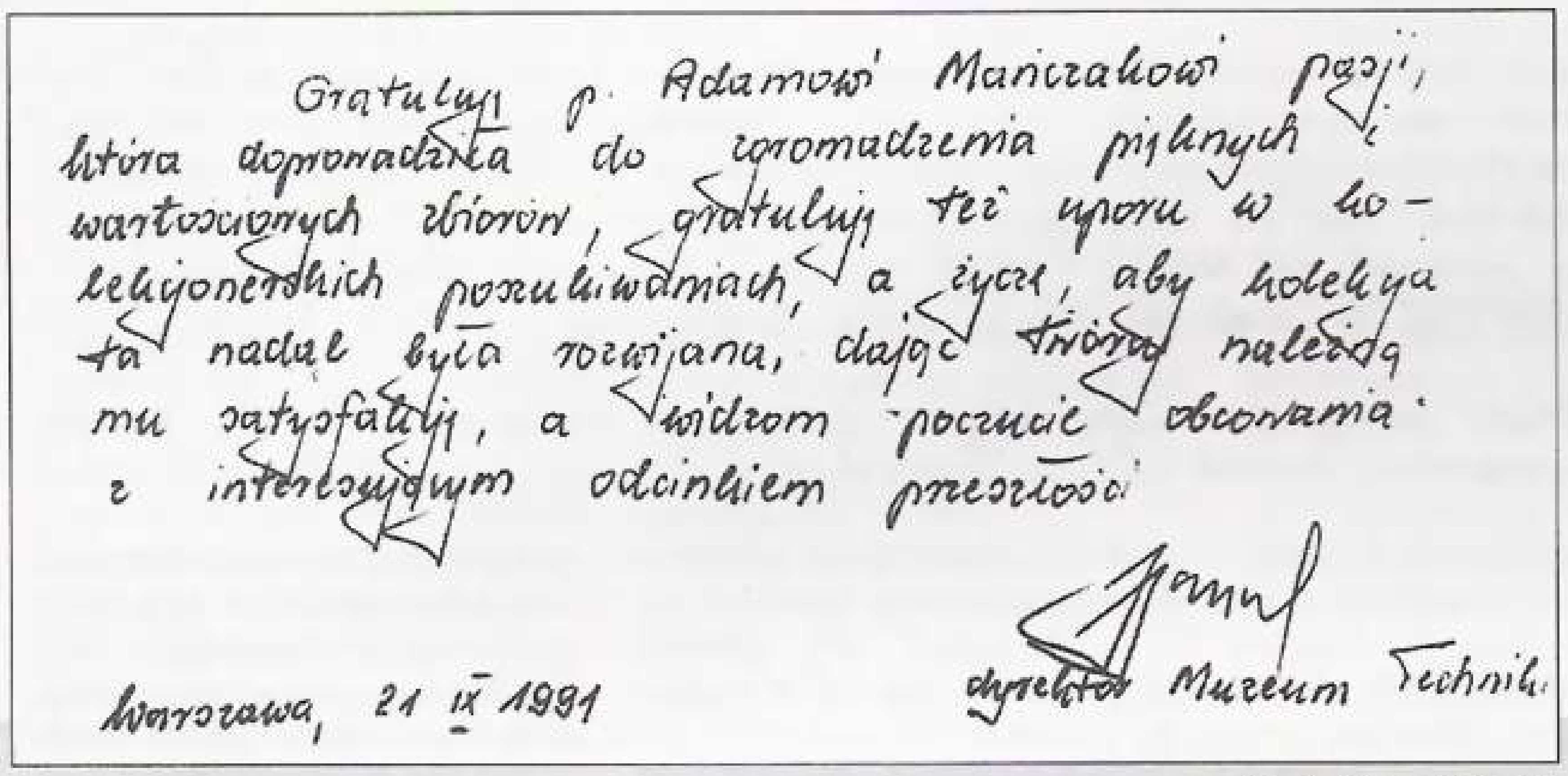
Gratuluję p. Adamowi Mańczakowi pasji,
która doprowadziła do zgromadzenia pięknych
wartościowych zbiorów, gratuluję też uporu w ko-
lekcjonerskich poszukiwaniach, a życzę, aby kolekcja
ta nadal była rozwijana, dając twórcy należną
mu satysfakcję, a widzom poczucie obcowania
z interesującym odcinkiem przeszłości

dyrektor Muzeum Techniki

Warszawa, 21 IX 1991

ze zbiorów Adama Mańczaka

– Podczas wystawy nie robię żadnych transakcji, to nie pora i nie miejsce, ale oni powiedzieli: „Proszę pana, my chcemy to panu oddać, nie sprzedać. Pochodzimy zza Lublina. W czterdziestym piątym roku kwaterował u nas radziecki oficer i zostawił nam ten gramofon. Powiedział, że jak będzie wracał z Berlina, to go odbierze. Nie wrócił. Trzymamy tyle lat... Chcemy, żeby ten gramofon został u pana."

Zdarza się, że ktoś telefonuje i mówi po prostu, że ma duży zbiór płyt i pragnie przekazać w kolekcjonerskie ręce. To zapewne kwestia zaufania – Mańczak doceni, przechowa i ocali; nie pójdzie na marne wysiłek poprzedniego kolekcjonera. „Przeszłość zachowana staje się cząstką teraźniejszości" – powtarza Adam Mańczak za Kotarbińskim.

– To motto przyświeca mi od samego początku. Uważam, że nie mając szacunku dla przeszłości dużo tracimy.

Dzięki mojej kolekcji wciąż odkrywam świat muzyki! Na przykład nie wiedziałem, że są tak piękne chorały. Poznałem nagrania Szymanowskiego i to w jakim wykonaniu! Mam płyty, które szokują chopinalistów – pierwsze nagrania laureatów przedwojennych konkursów chopinowskich dokonane przez firmy zagraniczne...

Bydgoski kolekcjoner miał już wiele wystaw w swoim rodzinnym mieście i w Warszawie. Zawsze cieszyły się wielkim zainteresowaniem. Jeszcze większe emocje wzbudzają koncerty, na których Adam Mańczak odtwarza stareńkie płyty na oryginalnych patefonach i gramofonach. Niepowtarzalny jest nastrój takich spotkań – podróży w czasie. Kolekcja żyje.

Przed płytami były cylindry
fot. z archiwum Adama Mańczaka

W ubiegłym roku Muzeum Niepodległości w Warszawie zaproponowało Adamowi Mańczakowi wydanie płyty kompaktowej z pieśniami patriotycznymi z jego archiwaliów fonograficznych z lat 1905-1935. Nagrań dokonano na oryginalnych odtwarzaczach kolekcjonera w studiu Polskiego Radia Pomorza i Kujaw SA w Bydgoszczy. Redycja powstała z okazji 80. rocznicy odzyskania niepodległości. Prace nad przygotowaniem płyty trwały ponad pół roku. Niemal do ostatniej chwili kolekcjoner uzupełniał libretta, wprowadzał poprawki, żeby jak najrzetelniej opracować każdą pieśń w sensie historycznym. Mówi, że ta płyta jest pełna serca wielu ludzi, którzy byli dumni, że mogą nad nią pracować i nie pytali o pieniądze.

Fonograf Edisona z 1916 r. na płyty węglowe z zapisem wgłębnym; jedyny w Polsce, unikat na skalę europejską
fot. ODKRYWCA

Największym marzeniem Adama Mańczaka jest stworzenie w Bydgoszczy Muzeum Fonografii. Od kilku lat prowadzi na ten temat rozmowy z miastem. Chce przekazać całą swoją budowaną przeszło dwadzieścia lat kolekcję.

– Niech to ludzie oglądają, dlaczego ma być u mnie pochowane? W ramach umowy przekażę jako dar trzy gramofony i około stu płyt, resztę oddam w depozyt wieczny. Chodzi o to, że miasto nie musi kupować, tylko zagospodarować i zabezpieczyć. Chcę być kustoszem tego muzeum (mam rekomendacje z Polskiej Akademii Nauk); stworzyć dział dydaktyczny, pokazujący historię fonografii, wystawienniczy, naukowy, z którego mogłyby korzystać uczelnie. Muzeum zarobiłoby na siebie umożliwiając reedycje archiwalnych nagrań, sprzedając prawo fotografowania, filmowania, pokazów telewizyjnych. Byłoby to więc połączenie kilku niezwykle pożytecznych rzeczy. Poza tym – uatrakcyjniłoby miasto.

Pan Adam mówi, że utworzenie takiej placówki jest kwestią czasu – ośmiu, może dziesięciu lat. Właśnie na dziesięć lat przekazuje na razie w depozyt swoją kolekcję, która ma być wystawiona jako ekspozycja stała Muzeum Okręgowego (planowany termin – listopad, grudzień). W wieczny depozyt zbiory zostaną oddane, gdy powstanie niezależne Muzeum Fonografii (w założeniu – imienia Emila Berlinera, twórcy gramofonu). Najlepszym wyjściem byłoby prawdopodobnie stworzenie fundacji.

Gramofon produkcji niemieckiej z ok. 1910 r.
Adam Mańczak:
– To jest epoka, która minęła, to jest epoka „Titanica"... Ubolewam, że w filmie nie pokazano gramofonu. Aż nie chce się wierzyć!
fot. z archiwum Adama Mańczaka

– Chcę po prostu, żeby to wszystko się zachowało. Jeżeli tylu ludzi się tym interesuje (mam dziesiątki wpisów po wystawach i spotkaniach, mnóstwo dowodów sympatii), to znaczy, że warto. Miasto nie będzie miało drugiej takiej idealnej szansy na początek muzeum, mówię to z całą odpowiedzialnością. Same płyty nie wystarczą, one muszą zagrać. Moja kolekcja odtwarzaczy jest wprawdzie ogólna, ale reprezentatywna, bo obejmuje poważne firmy światowe i przedstawicieli tych firm, sprzęt średniej klasy europejskiej. Gdziekolwiek bym go pokazał, nie musiałbym się wstydzić.

Słyszałam ptasie głosy utrwalone sto lat temu na wałkach – pierwszych nośnikach dźwięku, słyszałam nagranie odtwarzane z jedynego w Polsce fonografu Edisona na płyty węglowe, oglądałam przepiękne, misternie zdobione gramofony z tubami jak kielichy kwiatów, pierwsze płyty z nazwiskami takich gwiazd, że aż się kręci w głowie. I rozumiem pragnienie kolekcjonera, aby zobaczyło to i usłyszało jak najwięcej ludzi.

Maria Wiatrowska

* Podaję za: Mieczysław Kominek, *Zaczęło się od fonografu...* Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 1986.

Drukujemy przedwojenne mapy

Oddajemy Państwu trzeci arkusz przedwojennej niemieckiej mapy Gór Wałbrzyskich i Sowich (w oryginalnej skali); części d, e, f – będziemy drukować w kolejnych numerach „Odkrywcy". Oczekujemy sugestii i propozycji co do następnych map.

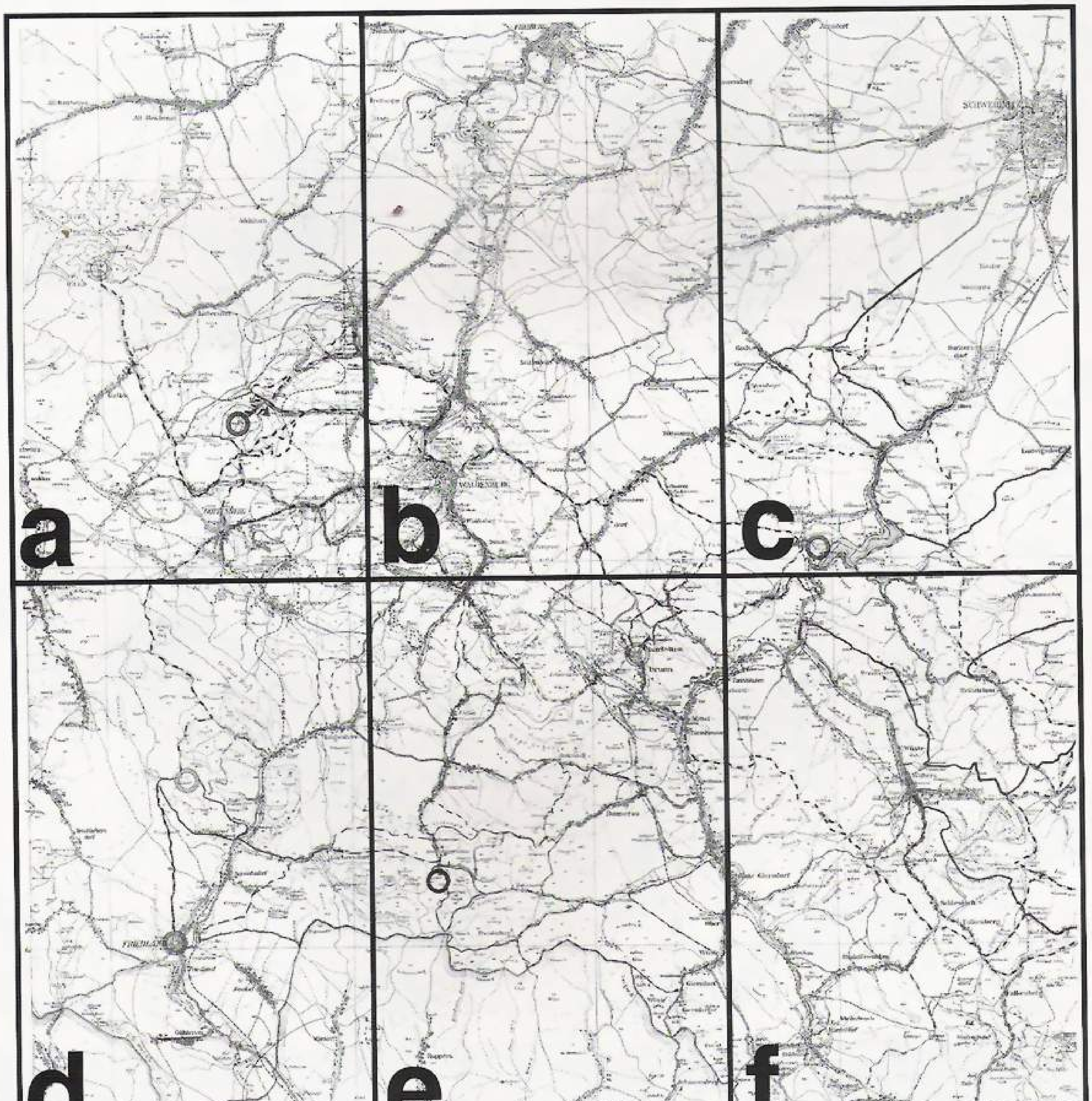

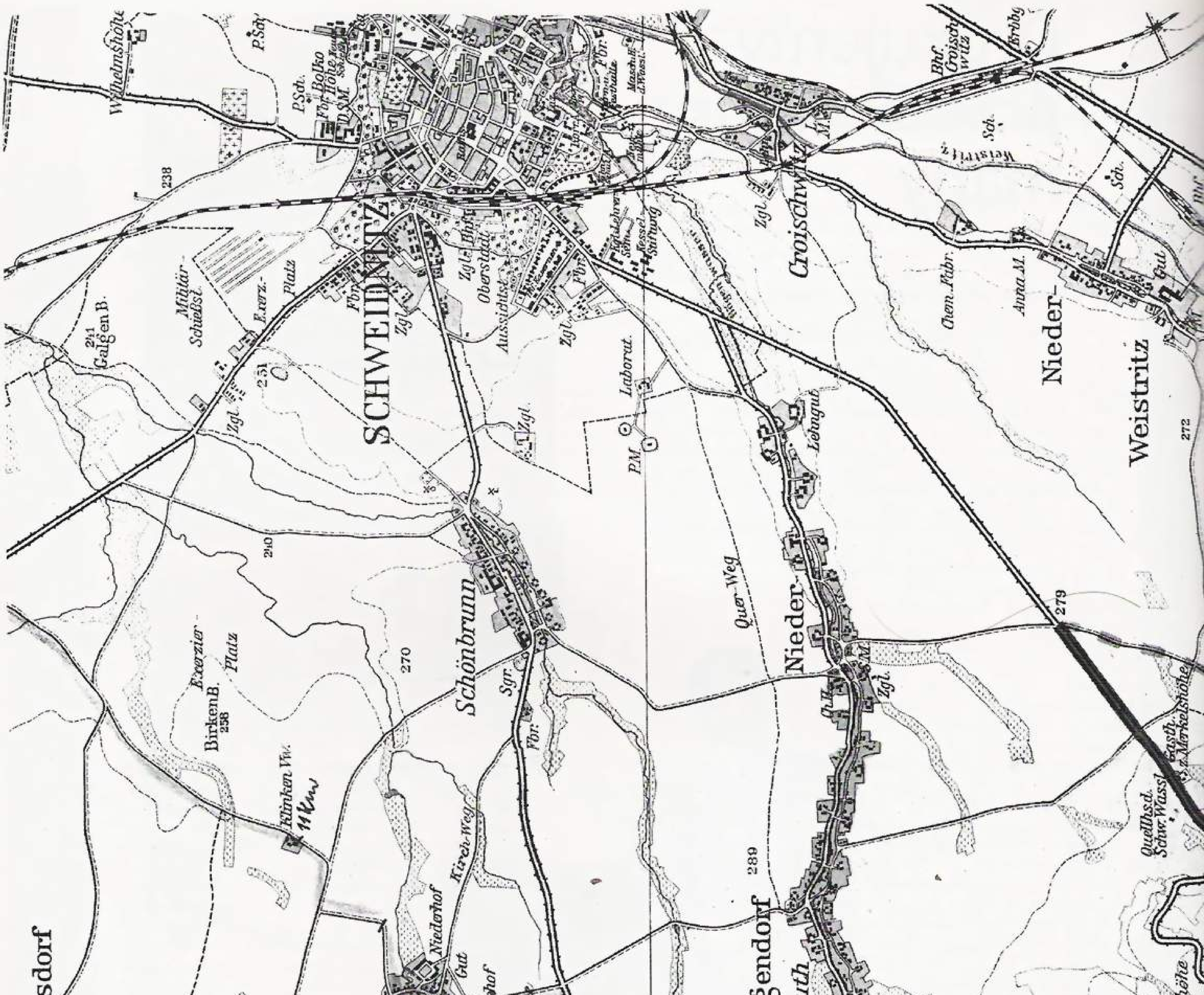
SCHWEIDNITZ
Schönbrunn
Cammerau
Arnsdorf
Bögendorf
Pfarrwiedemuth
Nieder-
Ober-
Kunzendorf
Croischwitz
Weistritz

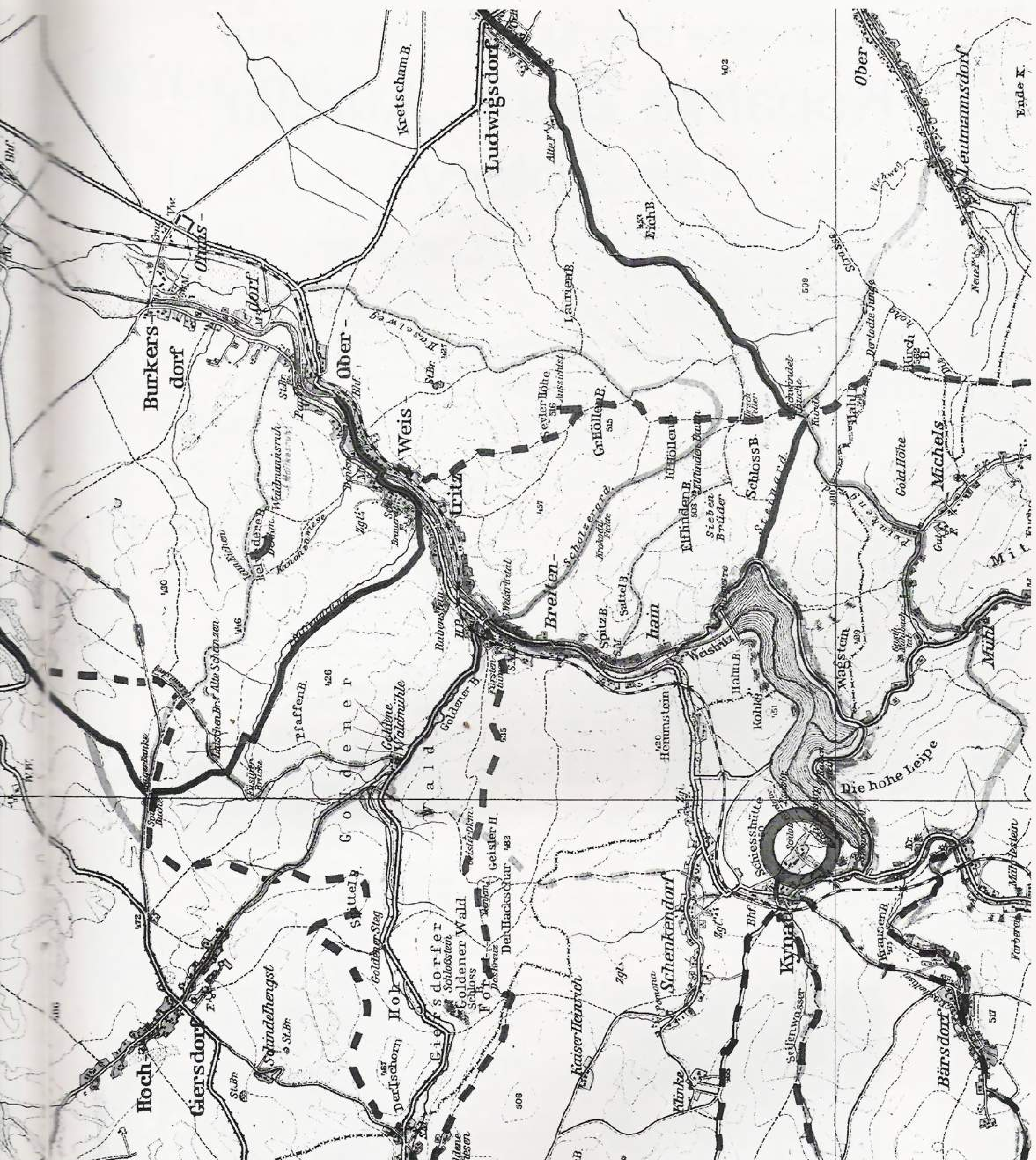
Ludwigsdorf
Kretscham B.
Ober
Leutmannsdorf
Ende K.
Burkers-
dorf
Ober-
Weis
tritz
Breiten-
hain
Goldene Waldmühle
Goldener Wald
Hemmstein
Weistritz
Schloss B.
Sieben Brüder
Elflinden B.
Gr. Höllen B.
Michels-
Gold Höhe
Wagstein
Die hohe Leipe
Schenkendorf
Kynau
Seifenwasser
Seifen
Wald
Klinke
Kaiser Heinrich
Kiefer B.
Stock B.
Hoch-
Giersdorf
Schindelhengst
Giersdorfer
Forst
Der Tschorn
Goldene Wiesen
Bärsdorf
Mühlenstein
Pfaffen B.
Laurien B.
Eich B.

C

Podziemne trasy turystyczne w Polsce

Kopalnia Złota „Aurelia" w Złotoryi

Złotoryja jest osiemnastotysięcznym miasteczkiem leżącym dwadzieścia kilometrów od Legnicy. Z wielu podobnych dolnośląskich miast wyróżnia ją metal szlachetny, który od prawieków wzbudzał pożądanie i ogromne emocje. Złoto, bo o nim mowa, śmiało można uznać za fundament, na którym przez wieki budowano Złotoryję. Wszystko zaczęło się od małej osady kopaczy złota, którzy osiedlili się na Górze Świętego Mikołaja. Wieści o złocie szybko się rozeszły i do osady zaczęli napływać poszukiwacze z całej Europy. Wypłukiwali złote drobiny z rzeki Kaczawy, drążyli szyby i sztolnie górnicze. Rozwój osady przebiegał szybko i w 1211 roku, za sprawą księcia Henryka Pobożnego, stała się ona miastem lokowanym na prawie magdeburskim. Nazwa miasta wprawdzie ulegała zmianom, ale zawsze związana była z drogocennym kruszcem (AURUM, AUREUS, MONS, GOLDBERG).

Ślady działalności kopaczy złota znaleźć można na okolicznych stokach i w lasach. Oczywiście, czas pozacierał je bardzo skutecznie i w wielu miejscach są to tylko ledwo dostrzegalne blizny. Zdecydowanie najciekawsza pozostałość to Kopalnia Złota „Aurelia" wydrążona w stoku Góry Świętego Mikołaja, na której obecnie znajduje się cmentarz. Pierwsze roboty górnicze w „Aurelii" miały miejsce prawdopodobnie w 1660 roku. Do dziś zachowały się ślady stosowanych w kopalni technologii górniczych, od najstarszych po dwudziestowieczne. O „Aurelii", jak chyba o każdym obiekcie podziemnym, krążą niezliczone legendy. Jej wyrobiska rzekomo łączą się z piwnicami gotyckiego kościoła stojącego na cmentarzu, a inna wersja mówi o sieci chodników biegnących pod całą Złotoryją. Wydaje się to mało prawdopodobne, ale w jednym z niemieckich opracowań z 1931 roku napisano, że Złotoryja posiada największy na Dolnym Śląsku kompleks obiektów podziemnych!

W bliskim sąsiedztwie kopalni znajdują się Złotoryjskie Zakłady Obuwia SA. W czasie drugiej wojny światowej były tu niemieckie zakłady „Opta-Radio-Werke" produkujące radiostacje lotnicze i zatrudniające pięciuset robotników przymusowych. Według zeznań Polaków, którzy podczas wojny pracowali w innej złotoryjskiej fabryce, zakłady „Opta-Radio-Werke" miały rozbudowaną część podziemną i mogły to być zaadaptowane wyrobiska „Aurelii". Podobno tuż przed wkroczeniem Rosjan Górą Świętego Mikołaja wstrząsnęły dwie silne detonacje. Nie wiadomo, czy Niemcy niszczyli wyprodukowane podzespoły elektroniczne, czy może chcieli je ukryć.

Po wojnie stara „Aurelia" popadła w zapomnienie. Dopiero w połowie lat siedemdziesiątych górnicy z Kopalni Rudy Miedzi „Lena" koło Wilkowa oczyścili około osiemdziesięciu metrów głównego chodnika i udostępnili go zwiedzającym. Później z „Aurelią" nic ciekawego się nie działo, aż do roku 1992, kiedy to w Złotoryi powstało Polskie Bractwo Kopaczy Złota. Bractwo, oprócz płukania złotych okruchów i kultywowania dawnych tradycji, postanowiło wyjaśnić część tajemnic kopalni pod cmentarzem. Szybko ustalono, że korytarze nie kończą się litą skałą, tylko zawałami. Atmosferę skutecznie podgrzali sprowadzeni specjaliści, którzy autorytatywnie stwierdzili, że zawały wywołano sztucznie. Przy Polskim Bractwie Kopaczy Złota utworzono Klub Eksploracyjny. Jego szefem został Karol Pawlaczek. W 1997 roku postanowiono odgruzować jeden z bocznych chodników. Kilku zapaleńców uzbrojonych w kilofy, łopaty i taczki dziarsko wzięło się do pracy i oniemiało, gdy po paru dniach katorżniczych robót zapadł się... fundament pod garaż znajdujący się nad kopalnią. Nie było wątpliwości – eksploratorzy trafili na dawny szyb górniczy. Na cześć odkrywcy otrzymał on nazwę „Karol". Oczyszczenie trzydziestometrowego szybu zabrało poszukiwaczom kilkanaście miesięcy. W trakcie prac znaleziono m.in. niemiecki hełm i szczątki broni; to sugeruje, że szyb został zasypany w czasie wojny. Pytanie tylko – dlaczego?

W „Aurelii" nie brak miejsc, którymi warto się zająć. Prace eksploracyjne wciąż trwają. Na szczęście, nie wstrzymują one ruchu turystycznego. Kopalnię można zwie-dzać po uprzednim zgłoszeniu w siedzibie złotoryjskiego OSiR-u: Rynek 1, 59-500 Złotoryja, tel. (076) 87 83 778, fax 87 81 873.

Wszystkim planującym odwiedziny w kopalni polecam organizowane również przez OSiR płukanie złota i zwiedzanie Muzeum Złota. Nocleg można znaleźć w czynnym cały rok Schronisku Młodzieżowym (ul. Kolejowa 2, tel. (076) 87 83 674) lub w hotelu „Pod Basztą" (plac Wł. S. Reymonta 8, tel. (076) 87 83 893).

Tekst i zdjęcia
Radosław Biczak

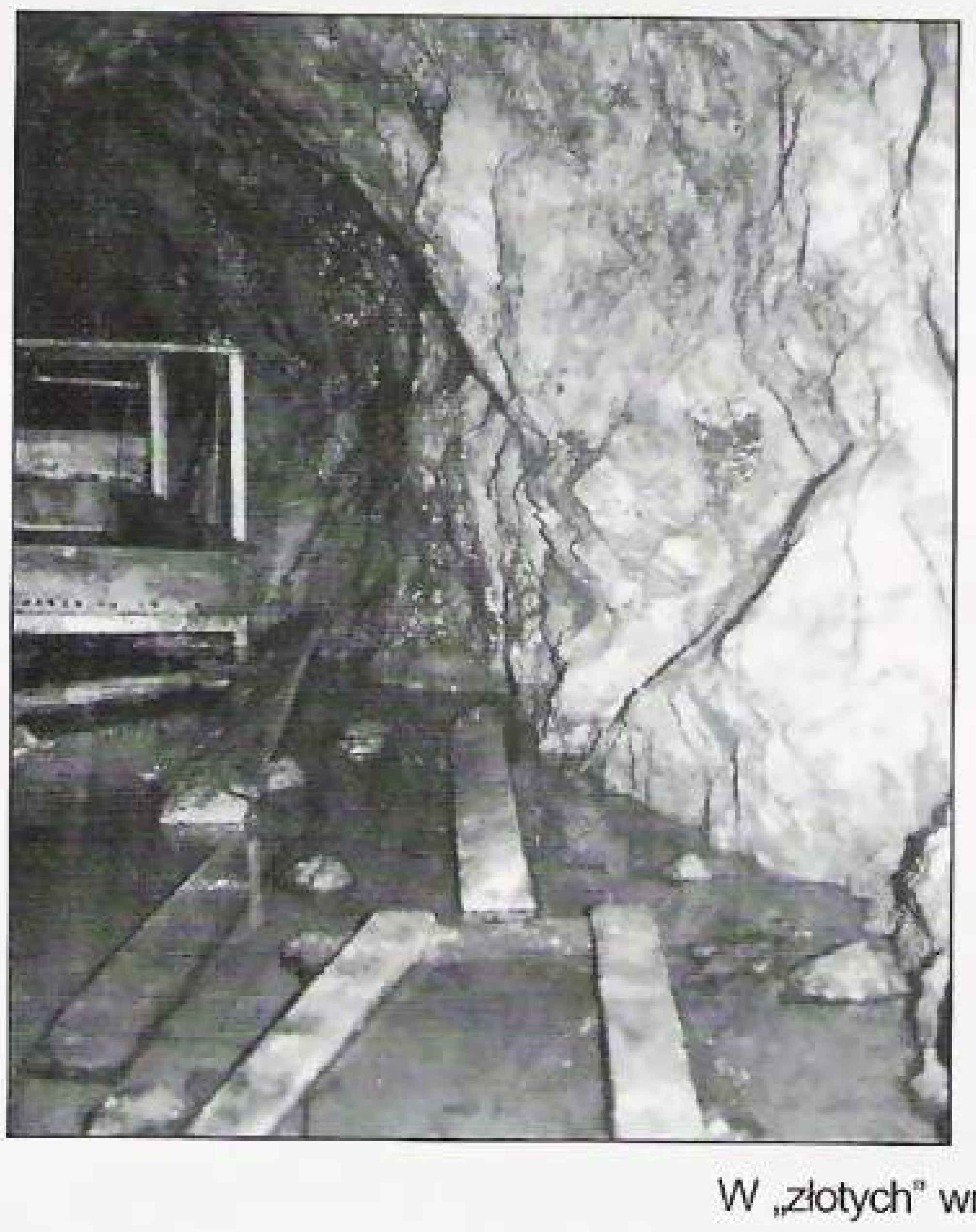

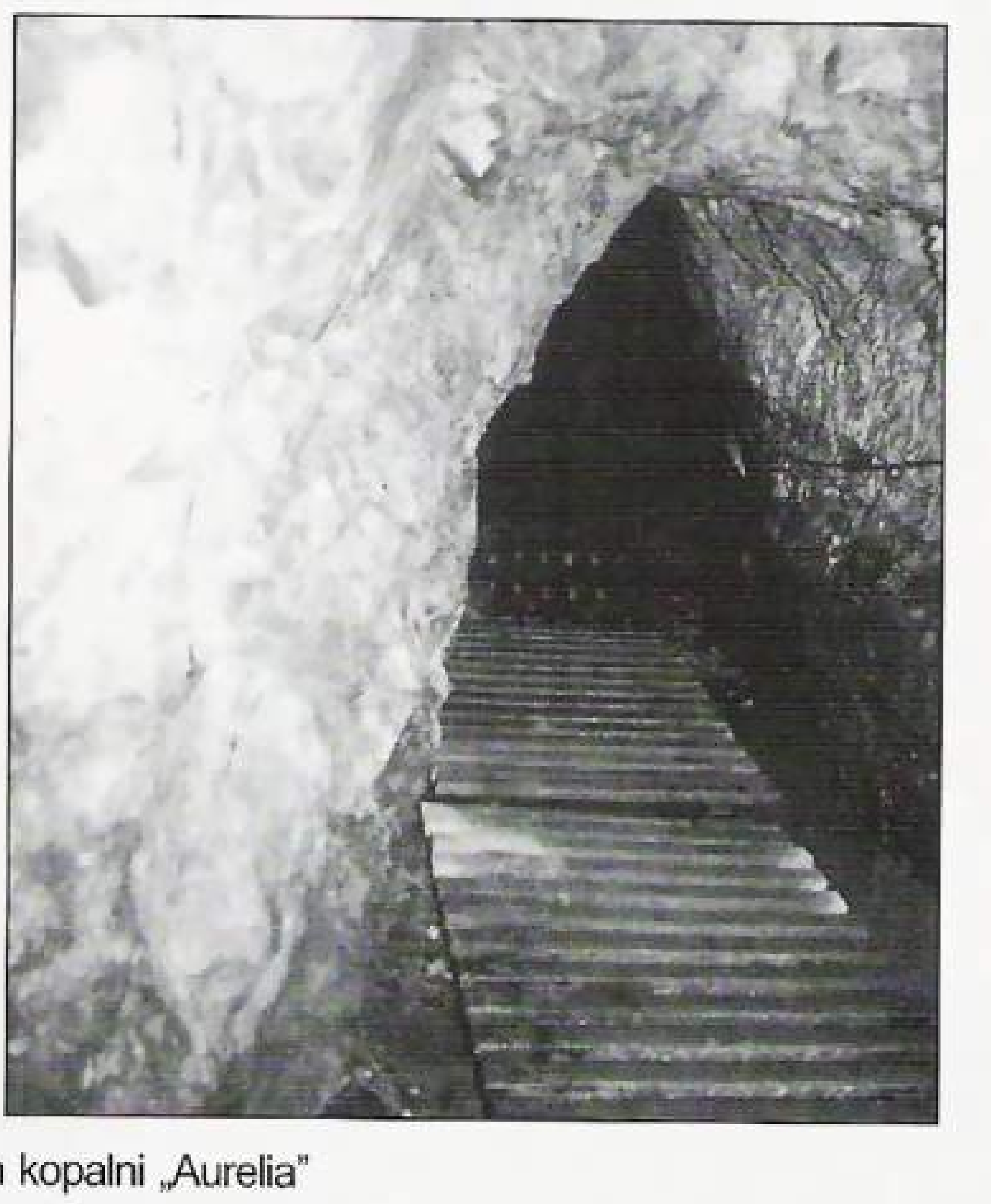

W „złotych" wnętrzach kopalni „Aurelia"

Przygoda jest zazdrosną kochanką

ROZMOWA Z ARKADIUSZEM PAWEŁKIEM

Arkadiusz Pawełek z wykształcenia jest technikiem budownictwa wodnego, ale próbował swoich sił w różnych profesjach – m.in. pracował na wysokościach, jako nurek, fotoreporter, dziennikarz, rozwoził pizzę, był stewardem na statku wycieczkowym pływającym po Morzu Karaibskim, przez pewien czas zawodowo zajmował się szukaniem skarbów. Ma za sobą półroczną podróż przez Azję, wyprawę na Półwysep Kolski, na Kaukaz, wyprawy nurkowe na Morze Czarne i Morze Czerwone. Jest współzałożycielem Centrum Turystyki Niekonwencjonalnej w Srebrnej Górze oraz Sportowego Centrum Survivalu i Eksploracji w Warszawie.
W 1998 roku zrealizował pomysł uznany powszechnie za szalony: przepłynął pontonem Atlantyk. Kruchą łupinę, której powierzył swój los na oceanie, nazwał „Cena Strachu".

– Wojtek Stojak powiedział, że jako pierwszy w Polsce umieściłeś na swojej wizytówce określenie „poszukiwacz skarbów". Wciąż jesteś przede wszystkim poszukiwaczem skarbów? Czego szukałeś na Atlantyku?

– Poszukiwanie skarbów było dla mnie zawsze sposobem na przygodę. I Atlantyk też stał się takim sposobem. A skarbów wciąż szukam. Jakich? Tego co Wojtek Stojak, czyli jak niektórzy mówią – śmieci: zardzewiałych karabinów, potłuczonych filiżanek... I najważniejsze, żeby szukać, a nie – znaleźć, bo – jak zostało powiedziane – jestem poszukiwaczem skarbów, nie znalazcą.

– Przypomnijmy kalendarium atlantyckiej przygody.

– Wystartowałem z Kadyksu dwudziestego siódmego czerwca ubiegłego roku. Po trzynastu dniach dotarłem do Las Palmas na Gran Canaria. Nie mogłem wejść do portu – był przeciwny wiatr i prąd, a ja nie miałem radia, żeby wezwać asystę (nie działało). Podchodziłem do stojącego na redzie polskiego statku „Uniwersytet Jagielloński" i podczas manewru fala rzuciła pontonem o burtę statku, tak że uszkodził się maszt. Poza tym okazało się już po tym pierwszym etapie, że trzeba bardziej zabezpieczyć ponton przed wdzieraniem się fal do środka.

– Jak długo trwała przerwa w wyprawie?

– Cztery miesiące. Ponton był przebudowywany, a ja czekałem na zakończenie sezonu huraganów na Karaibach. Wystartowałem ponownie z wyspy Lanzarote, z Porto Calero, dwunastego listopada. Po czterdziestu dniach dopłynąłem do Barbadosu – najbardziej na wschód wysuniętej wyspy karaibskiej, to już po drugiej stronie Atlantyku. Wyprawa zakończyła się dwudziestego drugiego grudnia. I tego dnia jednej z gwiazd w gwiazdozbiorze Oriona nadano nazwę „Cena Strachu".

– Fantastyczne. To tak, jakbyś miał własną gwiazdę... Jak to się stało?

– W Londynie jest instytucja – nie pamiętam, jak się nazywa – która zajmuje się nadawaniem nazw gwiazdom – zamiast numerów, bo bardzo dużo gwiazd ma tylko numery. No i jedną nazwano właśnie „Cena Strachu". Dowiedziałem się o tym dopiero w kwietniu tego roku. Przysłano mi dokumenty z Londynu – jest mapka, podana pozycja gwiazdy, pismo, że mam honorowy patronat...

– Ponton dopłynął do gwiazd... Ile czasu spędziłeś sam na oceanie?

– Łącznie pięćdziesiąt trzy dni. W pierwszym etapie przepłynąłem osiemset mil, w drugim – trzy tysiące mil.

– Wróćmy jeszcze na chwilę na Wyspy Kanaryjskie. Co tam robiłeś przez cztery miesiące?

– Uczyłem się łowienia ryb, można powiedzieć, że pracowałem jako załoga jachtu. Mieszkałem u pewnego Holendra, który ma na „Kanarach" chatę z basenem. Pomagał mi w przebudowie pontonu. Był kiedyś armatorem, sprzedał wszystki statki i żyje z procentów. Poznaliśmy się w ten sposób, że w Las Palmas stanął przy tej samej kei, przy której ja stanąłem. Też popłynął na Barbados – swoim jachtem. Wyruszył trzy tygodnie po mnie, a dotarł dzień przede mną.

– Twój ponton został wykonany na zamówienie?

– To właściwie typowy ponton ratowniczy, tylko przerobiony. Nie jest ze zwykłej gumy, ale z hypalonu – materiału dużo wytrzymalszego, odpornego na chemikalia i ultrafiolet, nie wymagającego konserwacji. Ten hypalonowy kołnierz został przyklejony do sztywnego dna wykonanego z włókna szklanego i żywicy. Zamontowano maszt i kil, żeby można na żaglach płynąć i żeby ponton nie dryfował. Zabrałem wiosła – zwykłe, drewniane, dwumetrowe, ale służyły głównie do oganiania się od co większych zwierzaków; nie da się wiosłować na pontonie przez Atlantyk. Nie miałem silnika, bo po pierwsze – to duże urządzenie, a po drugie – nie byłoby miejsca na paliwo. Kiedy wszystko spakowałem, zostało mi mniej więcej półtora metra na czterdzieści centymetrów przestrzeni życiowej.

– Mogłeś się gdzieś schować, w czymś w rodzaju kabiny?

– Nie. Ponton był odkryty. Bo to jest tak: jak dobra pogoda, można spać na pokładzie, a jak zła – to i tak trzeba wodę wylewać, no to po co się chować?

– Jaką miałeś odzież?

– Z systemem termoaktywnym, czyli polar setkę jako bieliznę, setkę jako ocieplacz i na wierzch goretex. Buty – goretexowe Haix, model GSG 9. I okulary przystosowane do warunków atlantyckich. Ubranie było szyte specjalnie na wyprawę – polary w firmie „Trango" w Krakowie, a wierzchni strój z goretexu, sztormowy, z kapturem – w LM w Koninie. Poza paroma drobnostkami – sprawdził się.

Miałem rękawice, ale ich w ogóle nie używałem. W pierwszym etapie ręce zniszczyły mi się od soli, poraniły. Później smarowałem olejkiem dla dzieci.

– Co zabrałeś ze sobą?

– Sto dwadzieścia litrów wody pitnej – trzydzieści w zbiorniku na kilu, resztę w pięciolitrowych plastikowych kanistrach na pokładzie. Około czterdziestu kilogramów żywności liofilizowanej – całkowicie odwodnionej i pozbawionej konserwantów. Do takiej suchej porcji dodaje się wody, nawet niekoniecznie gorącej, i za parę minut można jeść. W Polsce liofilizaty produkuje tylko jedna firma, w Kielcach. Właśnie stamtąd miałem żywność.

– Wziąłeś jakieś specjalne napoje energetyczne?

– Nie, zwykłą herbatę i kawę rozpuszczalną. Więcej nie było trzeba.

– Dało się gotować wodę na pontonie?

– Tak. Miałem maszynkę alpinistyczną na pojemniki gazowe. Zawieszałem na specjalnym uchwycie. No, oczywiście w czasie sztormu nie było mowy o gotowaniu. Liofilizaty da się też jeść na sucho. Jadłem.

Co jeszcze z wyposażenia? Menażkę ze stali nierdzewnej. Łyżki zapomniałem, zrobiłem z puszki po napoju. Później wziąłem z „Kanarów". Dwa aparaty fotograficzne, w tym jeden nurkowy, wodoszczelny. Apteczkę wziąłem standardową, z tratwy ratunkowej. W ogóle z niej nie skorzystałem.

– W jaki sposób określałeś swoje położenie?

– Miałem GPS – dwunastokanałowy, najprostszy model, busolę i sekstant, ale jeżeli chodzi o nawigację, to miałem przede wszystkim locję i książki o żeglowaniu.

– Uczyłeś się żeglować z książek płynąc przez Atlantyk? Żartujesz ze mnie.

– Nie, naprawdę wziąłem dobre książki i uczyłem się. Na początku wyprawy pogoda sprzyjała, więc czytałem sobie, jak się żegluje.

– To tak, jakby ktoś prowadził samolot i dopiero w powietrzu zgłębiał tajniki pilotażu.

– Nie, bo samolot może spaść, a ponton – bez przesady...

– Rzeczywiście, tu można się tylko utopić.

– Żeglowanie to nie jest taka sztuka, żeby nie można jej posiąść. Tylko żeglarze robią z niej jakąś wiedzę tajemną.

– Wobec tego jak przygotowywałeś się do wyprawy, skoro żeglować uczyłeś się w trakcie?

– Wiedziałem, jakie książki trzeba kupić. Zbierałem sprzęt. Pojechałem z „Rekinem" na nurkowanie do Afryki.

– Mówiłeś o sekstancie. To podobno dosyć skomplikowane urządzenie.

– Miałem ze sobą książkę „Nawigacja prosta, łatwa i przyjemna" i z niej uczyłem się, jak przy pomocy sekstantu określać swoją pozycję.

– Cały czas mam wrażenie, że kpisz ze mnie.

– Nie, słowo honoru! [śmiech] Bardzo się ucieszyłem, kiedy po pierwszych pomiarach okazało się, że mój błąd w określeniu pozycji wynosi tylko siedem mil (sprawdziłem GPS-em.) Jak na ponton, plastikowy sekstant i moje pierwsze doświadczenia – to nie był duży błąd.

– Nie wystarczyłby sam GPS?

– Wziąłem sekstant, bo wydawało mi się, że to będzie cie-

kawe zajęcie, nauczę się czegoś nowego. A poza tym GPS to jest elektronika, zawsze może się zepsuć. Wprawdzie akurat to sekstant przepadł podczas sztormu, a GPS działał do końca, ale różnie bywa...

– Mogłeś nawiązać łączność radiową?

– Wziąłem radio – takie zwykłe, do słuchania – i radiostację, ale zepsuła się. W Las Palmas została naprawiona, a później znowu nie działała, więc tak jakbym jej nie miał. Łączność utrzymywałem w ten sposób, że wysyłałem listy w butelkach. Dalej nie kpię. Naprawdę tak było. Jeden z nich został wyłowiony przez polski jacht płynący na Antiguę. Najlepszy numer, że ci ludzie okazali się znajomymi szefa firmy, która wykonała mój ponton.

– Czym zajmowałeś się podczas wyprawy?

– Żeglowałem.

– No dobrze, wiadomo, ale to niejako dzieje się samo...

– Tak. Bo zrobiłem sobie samoster. Zacząłem go klecić na „Kanarach". Holender powiedział, że przywiezie mi z Anglii. No i przywiózł książkę o samosterach, bo nie było samosterów na ponton. Na podstawie książki zrobiłem taką hybrydę i działało. Naprawdę.

– Co robiłeś całymi dniami?

– Opisanie pozycji przy pomocy sekstantu zajmowało mi cztery – pięć godzin. Prowadziłem dziennik podróży. Od czasu do czasu trzeba było przygotować jakieś jedzenie. Poza tym czytałem dużo książek. Miałem ich dwa worki, mniej więcej czterdziestolitrowe.

– Jakie książki płynęły z Tobą przez Atlantyk, oprócz tych o żeglowaniu?

– Zabrałem, na przykład, „Tajemnice, zamki, podziemia" Joasi Lamparskiej, książkę Bombarda – faceta, który pierwszy przepłynął Atlantyk na pontonie, od znajomego prawie księdza dostałem Biblię... Różne.

– Można by sądzić, że odbywałeś lekką, łatwą i przyjemną wycieczkę przy słonecznej pogodzie...

– Pogoda była przez pierwszy tydzień w porządku. Później – pięć dni sztorm, około ośmiu, dziewięciu w skali Beauforta. Fale gdzieś tak – siedmiometrowe, załamujące się; wiatr wiał z jednej strony, prąd był z innej i to wszystko się krzyżowało. W drugim etapie prze pierwsze dwa tygodnie utrzymywała się dosyć dobra pogoda, mniej więcej do wysokości Wysp Zielonego Przylądka. Później, jak zmieniłem kurs na zachód, w kierunku Barbadosu – zaczęła się psuć: trzy, cztery dni przyzwoite, trzy dni sztormu. I tak cały czas.

Dziewięćset mil od Barbadosu miałem wywrotkę. Fala o wysokości czterech – pięciu pięter załamała się nad pontonem. Ponton wywrócił się dnem do góry, ja znalazłem się pod nim. Utonęły mi wszystkie mapy, książki nawigacyjne, złamał się maszt. Straciłem połowę zapasu wody.

– Nie przywiązałeś ładunku?

– Część – tak, tylko po tych kilku tygodniach na oceanie byłem już na tyle wyluzowany, że nie dbałem o to, żeby wszystko z powrotem przywiązywać. W każdym razie jak po dwóch dniach postawiłem ponton, miałem już dużo więcej miejsca dla siebie...

– Po dwóch dniach? A co się z Tobą działo przez ten czas?

– Próbowałem się utrzymać na dnie odwróconego pontonu. Był sztorm. W pierwszej chwili po wywrotce pomyślałem, że to już się chyba nie uda przepłynąć. Wtedy jedyny raz powiedziałem do siebie głośno: „No, Pawełek, stało się to, czego się bałeś najbardziej". Radioboja ratunkowa, która powinna włączyć się automatycznie, nie zadziałała. Okazało się, że nie mam jak wezwać pomocy i mogę liczyć tylko na siebie. No to zacząłem stawiać ponton. Złamany maszt, który przy okazji przebił jedną komorę, wyciągnąłem na dno, przymocowałem linkami do burt, wyłowiłem żagiel, rozpiąłem na maszcie, ustawiłem ponton bokiem do wiatru i do fali, zbalastowałem i udało się przywrócić go do właściwej pozycji. Potem musiałem znowu wyciągnąć maszt i żagiel, bo przecież znalazły się w wodzie. Odcinałem po kolei linki...

To się szybko mówi, ale wszystko trwało dwa dni. Przecięcie nożem jednej stalowej linki zajmowało mi około godziny. Z narzędzi miałem tylko nóż. Przez cały czas był wpięty w kamizelkę. Dzięki niemu przetrwałem. Odwodniłem się, bo musiałem racjonować wodę, straciłem podczas wywrotki kapelusz, więc miałem poparzoną twarz, ale dopłynąłem.

– Zanim zmierzyłeś się z Atlantykiem, miałeś jakieś doświadczenia żeglarskie?

– Może trzy razy byłem na jeziorach ze znajomymi. To wszystko. I nie mam żadnych uprawnień żeglarskich.

– Dlaczego zdecydowałeś się na taką wyprawę? Co chciałeś udowodnić? Komu?

– Sobie. I może nie tyle coś udowodnić, co po prostu przeżyć przygodę.

– Jednak ta przygoda była zupełnie wariacka.

– Tak mówią.

– Przepraszam za to określenie, ale miałeś chyba świadomość, że możesz nie wrócić i że jest to bardziej prawdopodobne niż pomyślne zakończenie.

– Ja swoje szanse oceniałem pół na pół. I to właśnie było wyzwanie, coś mnie pociągało. Gdyby wyprawa była łatwa, może bym się na nią nie wybrał.

– Im trudniej, tym lepiej?

– To moja stara zasada, do której stosuję się od dawna: Im gorzej, tym lepiej, tym większa przygoda.

– Załóżmy, że jestem taką naprawdę okropną sceptyczką, co jak nie dotknie – nie uwierzy. I powiedzmy, że nie wierzę Ci na słowo. Jaki masz dowód na to, że istotnie przepłynąłeś Atlantyk pontonem?

– Zrobiłem to dla siebie, a nie po to, żeby udowadniać komuś, że przepłynąłem. Jeżeli nie wierzysz, nie chcę ciebie przekonywać.

– Jaką cenę zapłaciłeś za swój wyczyn?

– Ciężko powiedzieć... No, teraz trochę bardziej boję się Atlantyku niż przedtem. Bo przedtem bałem się nieznanego, a teraz już wiem, co się może stać.

– Wspomniałeś o „co większych zwierzakach". Zagrażały Ci jakieś?

– Spotkałem orkę, rekina, trochę delfinów... Orka przepłynęła obok, rekin trochę płynął za mną, potem zrezygnował.

– A gdyby się Tobą zainteresował?

– Rekina można w łeb palnąć i odpływa. Miałem przecież wiosła.

– O czym marzysz?

– Przygody, wyprawy – to mnie najbardziej ekscytuje. Jak powiedział kiedyś Marek Kamiński, jest ziemia, woda i powietrze i coś z tym trzeba zrobić.

Gdańscy motolotniarze zaprosili mnie do udziału w wyprawie motolotniami na Spitsbergen. To już w lipcu. Piętnastego grudnia ruszyć ma wyprawa na najtrudniejszą drogę świata – drogę Emerionów przez Góry Wododziałowe w Gujanie Francuskiej. Jestem współorganizatorem, a szefem – Janusz Kasza z Krakowa, człowiek, który w ubiegłym roku przeszedł drogę Humboldta w Ameryce Południowej. No i na przyszły rok szykuję ponownie wyprawę pontonem przez Atlantyk – tym razem trasą „Titanica", czyli drogą północną.

– Boisz się Atlantyku bardziej niż przedtem, a mimo to chcesz znowu płynąć...

– Bo tej drogi jeszcze nikt pontonem nie zrobił.

– Popłyniesz sam?

– Tak.

– Jakie są plusy i minusy tej samotności?

– Kiedy się jest samemu, to nie ma się obciążenia, że trzeba martwić się o kogoś, nie ma balastu odpowiedzialności, jeżeli coś się stanie. Człowiek liczy tylko na siebie i tylko za siebie odpowiada. Czasami jednak w dwie osoby może być łatwiej, tak jak łatwiej byłoby ponton postawić.

A w ogóle – to podróżnicy są chyba skazani na samotność.

– Właśnie tak się czujesz?

– Tak, ale to mi nie przeszkadza. Przyzwyczaiłem się. Coś trzeba poświęcić. Jakby to powiedzieć... Przygoda jest kochanką, która nie znosi konkurencji. Jeżeli ją się wybiera, trzeba zrezygnować z innych rzeczy. I ja zdecydowałem się na przygodę.

– Oby była Ci wierna. Dziękuję za parę kropel Atlantyku.

Rozmawiała
Maria Wiatrowska

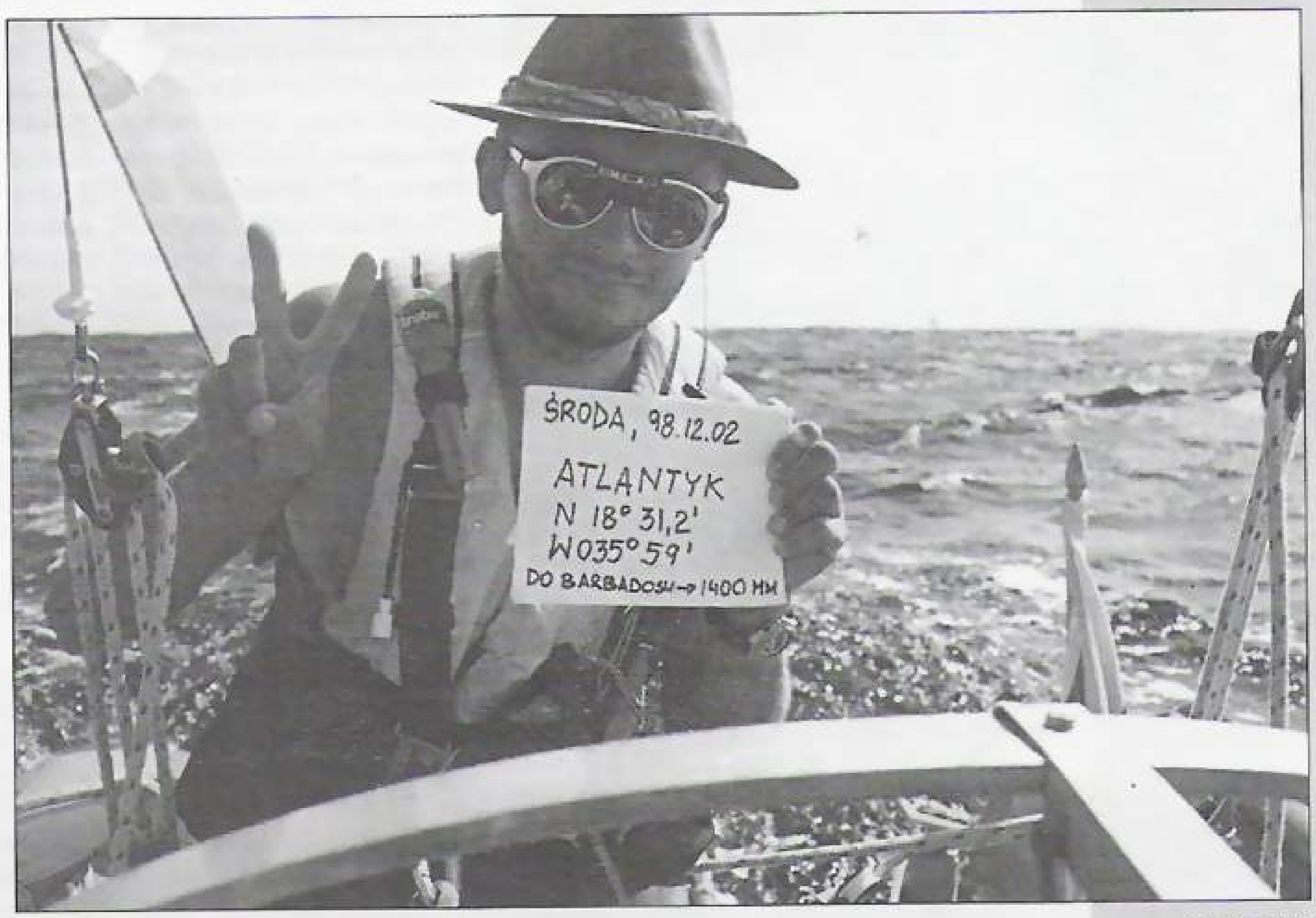

Na Atlantyku Arek mógł liczyć tylko na siebie fot. Arkadiusz Pawełek

Lasy pełne kurhanów

Niedawno mieszkaniec Cewic, gminnej wsi leżącej na Kaszubach w pobliżu Lęborka, spacerując po lesie natknął się na porośnięte trawą pagórki. Trochę go zdziwiło, że są one niezbyt duże, ale za to bardzo regularne. Poza tym było ich wiele. Po chwili uświadomił sobie, że prawdopodobnie trafił na kolejne zbiorowisko neolitycznych kurhanów. Przypuszczenia te wkrótce się potwierdziły. Jest to trzecie z kolei skupisko kurhanów sprzed około trzech tysięcy lat, ujawnione na terenie gminy Cewice.

Pojedynczy, kamienny krąg kurhanu pod Siemirowicami. W środku widoczny grób skrzynkowy

Koncentryczne, podwójne kamienne kręgi i grób obwarowany widoczny pośrodku

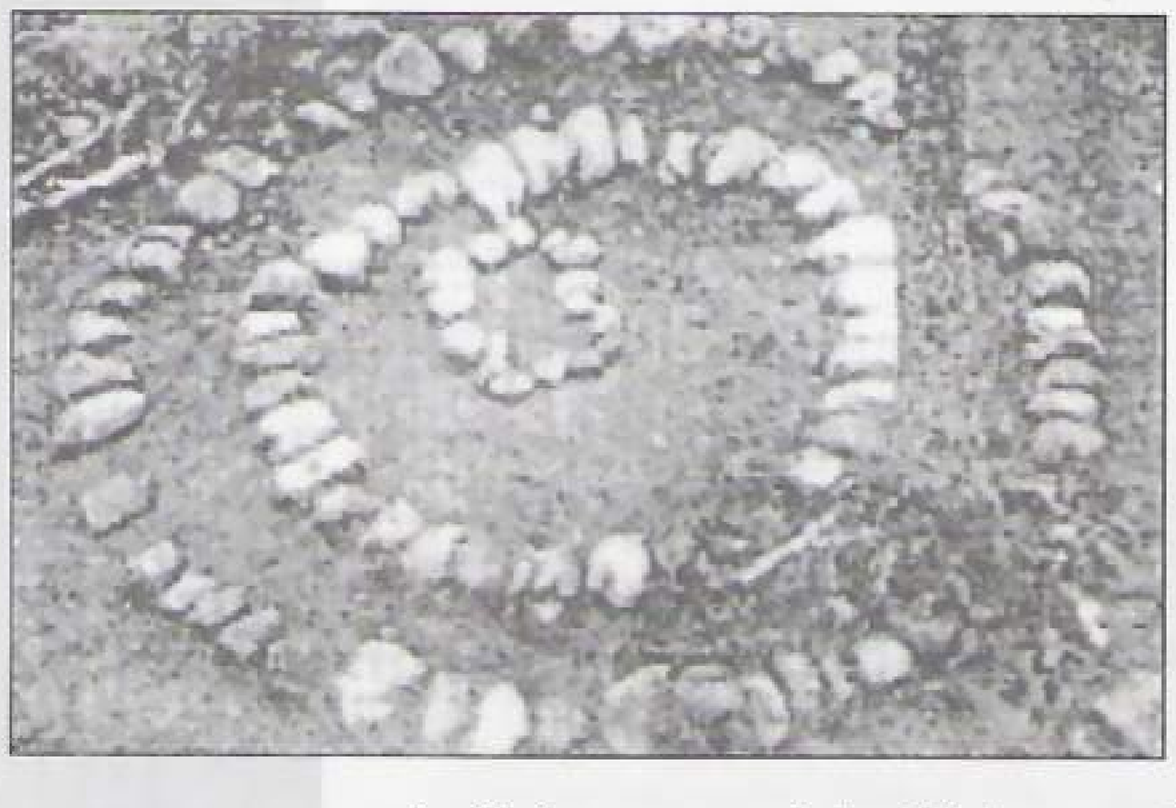

Poprzednie neolityczne cmentarzyska zamieszkującej te tereny ludności kultury łużyckiej znane są już od lat. Największe z nich znajduje się w pobliżu wsi Siemirowice, przy leśnej drodze prowadzącej do Oskowa. Zajmuje obszar wydłużonego prostokąta o bokach 1500 na 500 metrów. Dotychczas odkryto tu 122 kurhany. Badania na tym obszarze prowadzono już przed drugą wojną światową. Z inicjatywy muzeum w Słupsku pierwsze dwa kurhany zbadano w 1930 roku. Nie wiadomo jednak, jakie były wyniki tych badań i co znaleziono w obiektach. Do sprawy powrócono dopiero po wojnie, w 1957 roku. Prace badawczo-ratownicze prowadziło Muzeum Archeologiczne w Gdańsku. Później siemirowicką nekropolię badano także w latach 1970-71. Na podstawie wydobytych na cmentarzysku przedmiotów metalowych oraz wyrobów ceramicznych, ustalono wiek kurhanów na IV okres epoki brązu, czyli 1000-800 r. p.n.e. Chociaż dzięki tym pracom archeolodzy dość dużo dowiedzieli się o kaszubskiej kulturze łużyckiej. (m.in pozwoliły one na próbę rekonstrukcji rytuału pogrzebowego tych ludów), to kurhany nadal kryją wiele tajemnic. Jedną z nich jest duża liczba szczątków kostnych dzieci, które zmarły w wieku 2,5 do 5 lat. Ustalono, że w jednym kurhanie pochowano średnio pięć osób z tym, że w wielu znajdowały się szczątki kobiety i dziecka.

Największy siemirowicki kurhan. Na pierwszym planie widoczne kamienne stele.

Ciekawa jest też sama budowa obiektów. Budowane były na rzucie koła lub w kształcie do niego zbliżonym. Ich średnica wahała się w granicach od 5 do 10 metrów. Największy miał średnicę 18 metrów. Maksymalna wysokość kurhanów dochodziła do 1,2-1,5 metra. Kolisty kształt uzyskiwano poprzez układanie u podstawy obiektów kręgów z dużych, ściśle do siebie przylegających kamieni. W środku kręgu były tzw. skrzynie zbudowane z płaskich kamieni. Nad nimi usypywano kopiec z kamieni polnych i przysypywano je ziemią. We wnętrzu skrzyń znajdowały się popielnice i naczynia gliniane pełniące funkcję przystawek oraz ludzkie kości. Były tam także różne przedmioty metalowe, takie jak ozdobne szpile, bransolety, pierścionki czy groty do strzał. Pod wyłożonym kamieniami dnem skrzyni znajdowały się jamy. Takie same jamy znajdowano też w pobliżu kurhanów. Wypełnione były węglem drzewnym i przepalonymi kośćmi ludzkimi. Czyżby więc istniały w tym miejscu pogrzebowe stosy?

Kolejną zagadkę stanowią tzw. groby obwarowane o średnicy około jednego metra. Zbudowano je z polnych kamieni, a wewnątrz ustawiono popielnice. Dziwne, że część z nich znajduje się pomiędzy kamieniami płaszcza. Wygląda więc na to, że wstawiano je tam w różnym czasie, w miarę zgonów poszczególnych członków rodu. Większość kurhanów ma za podstawę pojedynczy kamienny krąg. Są jednak i takie, które mają po dwa kręgi koncentryczne. Dlaczego? Natomiast tylko w jednym z siemirowickich kurhanów odkryto dwie płaskie, kamienne stele. Zamykały one od wschodniej strony kamienny krąg. Według niektórych naukowców, jest to najstarszy w Polsce przykład stawiania stel na cmentarzyskach. Te z Siemirowic są o blisko tysiąc lat starsze od stel odkrytych na cmentarzyskach późnolateńskich czy rzymskich. Niewyjaśnione jest także to, dlaczego stele ustawiono na wschodzie. Badacze wiążą ten fakt z występującymi w kulturze łużyckiej wierzeniami związanymi z kultem słońca i kultem przodków. Oznaczałoby to, że kamienne kręgi tak licznie występujące na cmentarzyskach kurhanowych grupy kaszubskiej kultury łużyckiej, mogą mieć związek z kultem słońca. Kręgi mogą być po prostu wyobrażeniem tarczy słonecznej. Jeśli tak, to stąd już tylko krok do tajemniczych kamiennych kręgów w Odrach w Borach Tucholskich i w Węsiorach na Kaszubach, a także kromelachu Stoneghene w Angli, a stamtąd bardzo blisko do teorii przybyszów spoza Ziemi. Archeolodzy od dawna podejrzewali, że cmentarzysko w Siemirowicach nie jest jedynym na obszarze Pomorza Gdańskiego. Odkryto jeszcze cztery grupy nekropolii tego rodzaju na terenach pomiędzy rzeką Słupią na zachodzie a rzeką Piaśnicą na wschodzie. Nikt jednak nie przypuszczał, że w pobliżu Cewic znajduje się drugie cmentarzysko. Kilka kilometrów na południowy zachód od wsi, w lesie, jest dość obszerny teren pokryty charakterystycznymi, porośniętymi trawą pagórkami. U podnóży tych kopców widać duże kamienie ułożone w kręgi. Nie ma wątpliwości, że to kolejna nekropolia kaszubskiej kultury łużyckiej sprzed trzech tysięcy lat. Kurhany mają bowiem te same cechy, co obiekty znajdujące się w Siemirowicach. Cmentarzysko pod Cewicami zajmuje obszar kilku hektarów i jest w lepszym stanie niż to z Siemirowic. Może dlatego, że znajduje się w gęstym lesie. Natrafić na nie mogli więc tylko nieliczni amatorzy grzybów i jagód. Najprawdopodobniej większość z tych ludzi nie zdawała sobie nawet sprawy, że spaceruje po cmentarzu sprzed kilku tysięcy lat. Brak informacji, czy ktokolwiek oprócz ciekawskich autochtonów badał kurhany pod Cewicami. Być może gdzieś w archiwach jakichś muzeów, czy uczelni zachowały się materiały z ewentualnych badań. Nie ma jednak do nich dostępu. Nie znaczy to oczywiście, że naukowcy nie wiedzą o znalezieniu drugiego cmentarzyska na terenie cewickiej gminy.

Znakiem „X" zaznaczono miejsca, w których znajdują się neolityczne nekropolie w gminie Cewice

Dopiero odkrycie trzeciego zbiorowiska neolitycznych kurhanów wywołało nie lada sensację. Kilka hektarów lasu znajdującego się około dwóch kilometrów od drogi do Uniszyna zajmują kurhany i kamienne kręgi identyczne jak te, które są w Siemirowicach i pod Cewicami. Wszystkie z dotychczas odnalezionych kurhanów mają taką samą budowę jak wymienione poprzednio. Są to porośnięte trawą kamienne półkule o średnicy od 3 do 10 metrów. Na razie odnaleziono tylko kilka z nich, lecz z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że w lesie pod Uniszynem znajduje się ich więcej. Zresztą tak naprawdę, to nikt do końca nie wie, ile kurhanów kryją podcewickie lasy. Jest więc znakomita okazja do penetracji tego terenu i śledzenia pozostałości po pradziejowych cywilizacjach. Trzecie cmentarzysko zachowało się w dobrym stanie. Prawdopodobnie dlatego, że teren, na którym leży, przez wiele lat należał do wojska. Teraz, kiedy przejęła go gmina, zapuszcza się tam coraz

więcej mieszkańców okolicznych wsi. Ci, którzy umieją patrzeć i kojarzyć, mogą dokonać kolejnych, coraz ciekawszych odkryć, a jest czego szukać.

W kilkanaście dni po opublikowaniu w lokalnej prasie informacji o odkryciu trzeciego cmentarzyska, myśliwi z miejscowego koła łowieckiego powiadomili, że podczas jednego z polowań natrafili w lesie na dziwny kamień. Kiedy zaprowadzili badaczy na miejsce, okazało się, że w gęstym lesie znajduje się pokaźny kamień, którego większa część spoczywa pod ziemią. Ciekawa jest natomiast ta część, która wystaje z ziemi; w kształcie koła, bardzo płaska i bardzo gładka. Boki tego koła zostały wyszlifowane ostrym kamieniem lub innym narzędziem. Całość do złudzenia przypomina młyńskie koło, tyle że obróbki musiano dokonać bardzo dawno temu. Koło wyciosane lub wyszlifowane zostało na górnej części kamienia i stanowi z nim jedną całość. Niemożliwe, aby dokonała tego sama natura. Niektórzy uważają, że to część ołtarza ofiarnego sprzed tysięcy lat. Mając na uwadze fakt, że w jednym z siemirowickich kurhanów odnaleziono kamień w kształcie graniastosłupa z wyraźnymi śladami ciosania, można przyjąć i hipotezę kamienia ofiarnego.

Trzecia nekropolia i duże prawdopodobieństwo odkrycia kolejnych sprawia, że można podejrzewać, iż w pobliżu, w okresie powstania tych kurhanów, istniała duża osada lub kilka osad ze sobą sąsiadujących. Jest to więc wspaniały poligon dla tych, którzy interesują się archeologią pradziejową. To ważne, ponieważ po przerwaniu prac przez naukowców miejsca te odwiedzali rabusie usiłujący wygrzebać z kurhanów cenne przedmioty. Ich działalność doprowadziła do zniszczenia blisko 120 grobów kurhanowych. Do zniszczeń przyczynili się też mieszkańcy okolicznych wsi, którzy w różnych okresach, nie zważając na historyczną wartość tych miejsc, pozyskiwali kamienie z kurhanów jako materiał budowlany. Materiału tego jest zaś bardzo dużo. Dla przykładu, w celu wzniesienia 122 kurhanów w Siemirowicach zgromadzono 1500 metrów sześciennych budulca. Być może więc komuś, kto wytrwale będzie penetrował okoliczne lasy, uda się trafić na nienaruszone cmentarzysko ludów z neolitu. Być może wtedy uda się rozwikłać wiele tajemnic związanych z kurhanami.

Tekst i zdjęcia
Leszek Kotarski

Łowca skrytek

Pamiętacie historię Łowcy i opróżnionych skrytek („Odkrywca" nr 1(7)99)? Upłynęło trochę wody w górskich rzekach i stopniały śniegi, a ja tymczasem słuchałem Waszych komentarzy dotyczących tajemniczych schowków. Nie spodziewałem się, że niektórzy z Was tak się zapalą, że będą planować wypady do tuneli kolejowych i szukać kamiennych murów po lasach. Tylko nie patrzcie na każdego spotkanego w lesie spacerowicza jak na strażnika pilnującego skarbu, bo to lekka przesada.

Wczesną wiosną skontaktowałem się z Łowcą próbując umówić się na kolejny wypad w teren, jednak pogoda skutecznie torpedowała nasze plany. Kiedy wreszcie się spotkaliśmy, i tak padał deszcz, ale ciekawość była silniejsza więc pognaliśmy w lasy.

KAMIENNA RAMPA

Ruszamy samochodem Łowcy. Droga śliska jak diabli, a on po ostrych zakrętach prowadzi bardzo szybko. Czuję ulgę, gdy wreszcie zatrzymuje samochód. Teraz krótki marsz leśnym duktem i dochodzimy na miejsce. Trochę się rozpędziłem i Łowca musi mnie przyhamować, bo przeszedłbym obok. Stoimy na drodze, a jakieś dziesięć metrów niżej znajduje się „coś". Zerkam na Łowcę i na obiekt i nie wiem, co myśleć, ponieważ na żadną rewelację mi to nie wygląda – ot, dość szeroki kamienny murek przypominający kształtem rampę. Po poprzednich sensacjach czuję się rozczarowany. Widać Łowca to dostrzega, bo pokazuje kilka szczegółów, które mi umknęły. Rampa to raczej nie jest, gdyż droga biegnie trochę wyżej. Punkt widokowy – też nie; w bliskim sąsiedztwie są lepsze. „Coś" ułożono z dużych kamieni, a rampę przypomina tylko od drogi, natomiast z drugiej strony opada łagodnie niczym naturalne usypisko. Na jednym z kamieni są wyryte słabo widoczne cyfry: 1991. Nie wydaje się, żeby oznaczały datę, tym bardziej że odkryto je pod grubą warstwą mchu. Łowca zwraca moją uwagę na nieckę przy oddalonej o kilka metrów grupie skał; przypuszczalnie z tego miejsca wybrano budulec na „rampę". I jeszcze jedno – teraz jest tu zaledwie kilka drzew, ale liczne pniaki świadczą, że dawniej rosło ich więcej i „rampa" wcale nie musiała być widoczna z drogi. Trudno pokusić się o jakieś wnioski, zresztą Łowca nie tai, że też nie wie, co to jest. Dłuższą chwilę wymieniamy uwagi; może coś zamaskowano, może to nietypowy szyb wentylacyjny? Chyba tylko ludzie, którzy ułożyli te kamienie, mogliby wyjaśnić zagadkę.

BUNKIER WERWOLFU?

Znów ostro jedziemy samochodem. Zatrzymujemy się na asfaltówce w takiej dziczy, że dookoła widać tylko gęsty górski las. Deszcz pada jak padał, a my wędrujemy w dół stoku klucząc między drzewami i omszałymi głazami. Łowca – jak zwykle pewny siebie – bez wahania wybiera kierunek marszu. Wreszcie docieramy na miejsce – w samym środku lasu stoi betonowy bunkier. Nie jest to żadne założenie obronne, raczej jakiś schron. Ma prostokątny kształt i dwa metalowe włazy – jeden u góry w narożniku, a drugi w ziemi; już za swoim obrysem. Ten drugi właz jest otwarty i okazuje się, że to dwie klapy, jedna trochę mniejsza od drugiej, a na każdej po dwa zamki. Obie idealnie pasują do futryn, a po zamknięciu jest jeszcze dość miejsca, żeby włazy przysypać ziemią, aż do naturalnie wyglądającego koł-nierza. Ciekawe, kto te włazy otworzył. Trzy zamki otwarto kluczami lub wytrychem, czwarty wyłamano. Co mogło być w środku? Wnęka wygląda na małą, ale ocenić trudno, gdyż pełno w niej wody, gałęzi i roślin. Schron też ma klapę, jednak zamkniętą na głucho. Ktoś obszedł to zabezpieczenie rozkuwając zbrojony beton w bocznej ścianie. W środku pełno wody, można by w niej utonąć. Gdyby nie ona, może widać by było jakieś dodatkowe szczegóły pozwalające określić przeznaczenie obiektu. Jeszcze jedna ciekawostka – przez naroża budowli przechodzą perforowane rurki, które umożliwiały niewielką cyrkulację powietrza. Fotografuję włazy i bunkier i chociaż jest dzień, to w tej gęstwinie muszę posiłkować się fleszem. Zapalam papierosa i próbuję przekonać Łowcę, że to nie może być skrytka. Takie betonowe cudo zbytnio rzuca się w oczy, a przecież w tę gęstwinę też ktoś mógłby zawędrować. Łowca słucha moich argumentów, lecz po wyrazie jego twarzy widać, że ma gotowe odpowiedzi. Właściwie to nie jestem zaskoczony – moje spostrzeżenia są gorące; on miał czas na analizę. Wnioski Łowcy są ciekawe i poparte logiką; może dlatego tak ciężko je obalić? Pokazuje mi kilka szczegółów w terenie. Mogą sugerować, że cały obiekt był dodatkowo zamaskowany ziemno-drewnianą konstrukcją, która przy odrobinie fantazji wykonawców idealnie harmonizowała z terenem. Wiele wskazuje, że schron miał charakter magazynowy, a nie mieszkalny. Tylko kto mógł korzystać z niewielkiego magazynu? Wojsko raczej nie, chyba że partyzanckie. Czyżby chodziło o Werwolf? Działali na tych terenach, chociaż niezbyt intensywnie. Jednak przygotować mogli się wcześniej, a broń była niezbędna do walki. Taki solidny magazyn przydałby się idealnie. Zabezpieczenia – włazy i zamki – są śmieszne, ale tylko pod warunkiem, że magazyn zostałby namierzony przez wojsko bądź milicję; dla kontroli swoich żołnierzy powinno wystarczyć. Dwie skrytki – duża i mała. Czy ktokolwiek, trafiwszy na duży bunkier pełen broni, szukałby czegoś jeszcze? A przecież w drugiej skrytce mogły być rzeczy cenniejsze dla zapewnienia egzystencji – dokumenty i pieniądze... To oczywiście tylko hipoteza, budowana nieomal na samych domysłach.

Właz do leśnego schronu

Komu służył ten obiekt?

Kolejna wędrówka ścieżkami Łowcy przyniosła kika nowych zagadek. Szanse na ich całkowite wyjaśnienie są niewielkie. Można tylko snuć przypuszczenia. W każdym razie takie łamigłówki są – według mnie – zdecydowanie ciekawsze od krzyżówek.

Tekst i zdjęcia
Ulrich Waldenburski

Z redakcyjnej skrzynki

Z poszukiwaniami wiążą się nie tylko przyjemności, ale również – niestety – kłopoty. I to całkiem poważne.

(...) Jestem facetem spod znaku wykrywacza i saperki, a to co mnie gnębi, to legalność moich poczynań. Możliwe, że problemy prawne były już poruszane przez Państwa (nie mam numerów 0 i 1), jeśli nie, to chciałbym zapoczątkować dyskusję na ten temat. Polskie prawo jest dość restrykcyjne, jeśli chodzi o kolekcjonerstwo broni. Większość wydobywanych rzeczy przy pomocy wykrywaczy to militaria, a wśród nich można spotkać amunicję, karabiny, pistolety... No właśnie, i co wtedy? Nie mam na myśli zbierania niewypałów, jak wszelakiego autoramentu miny, pociski artyleryjskie czy inne granaty. Ale np. taki zardzewiały karabin z I czy II wojny światowej? O ile pamiętam, za to grozi kryminał, równie dobrze można by było powiesić nad łóżkiem kałasznikowa, a nie polskiego mausera – efekt ten sam.

Dlaczego więc ja mam być na równi traktowany jak pospolity bandyta z jakiejś grupy przestępczej? Co należałoby zrobić, aby kolekcjonować taką broń zgodnie z prawem? Czy wystarczy przeborowanie lufy lub zalanie ołowiem? Wiem, że do tej pory nie można było mieć bez pozwolenia nawet karabinku do paint-balla. (Był to chyba precedens na skalę światową; był, bo nowa ustawa niedawno uchwalona znosi te zezwolenia – na szczęście!)

Akurat nie należę do żadnego środowiska kolekcjonerów, by być poinformowanym na temat legalności zbierania broni. W telewizji pokazywani są raz na jakiś czas właściciele kolekcji militariów aresztowani przez policję (inna sprawa, że oni zbierali także niewypały, co rzeczywiście jest niebezpieczne) i w tej samej telewizji można zobaczyć młodego kolekcjonera mającego na ścianie w pokoju mausery, mosiny, szmajsery... Przy czym nikt go już nie ściga ani wsadza do więzienia. Jak należy więc zbierać takie rzeczy?

Piotr Moskwa, Skierniewice

Osób, które „chodzą z wykrywaczami" jest coraz więcej i wszystko wskazuje na to, że ich liczba będzie rosła. Nie można udawać, że problem nie istnieje. Obowiązujące w Polsce prawo go nie rozwiązuje. Na ogół poszukiwacze postrzegani są przez władze administracyjne, archeologów, konserwatorów zabytków – jako wandale i niebezpieczni wariaci. Z przykrością trzeba stwierdzić, że nie są to opinie bezpodstawne, gdyż nieodpowiedzialnych i zachowujących się żenująco pseudoposzukiwaczy – jest wielu, stanowczo za wielu. Z drugiej strony, taka opinia krzywdzi rozsądnych, rzetelnych, kulturalnych, mających rozległą wiedzę i postępujących zgodnie z przyjętymi zasadami ludzi „spod znaku wykrywacza", a tych jest bardzo dużo. Ale grożenie palcem nie pomoże. Tylko porozumienie i współpraca między stroną „urzędową" i „poszukiwawczą" zagwarantują ucywilizowanie poszukiwań.

Redakcja „Odkrywcy" zwróciła się do Generalnego Konserwatora Zabytków, Generalnego Konserwatora Archeologicznego oraz Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji z prośbą o zajęcie stanowiska w poruszonych kwestiach. Czekamy na odpowiedzi, które oczywiście opublikujemy na naszych łamach. Niezależnie od tego – zapraszamy Państwa do dyskusji.

* * *

Dziękujemy za list panu **Leszkowi Śiembiedzie** ze Starachowic. Stosunkowo często zamieszczamy artykuły na temat wykrywaczy metali. Pojawiają się również ogłoszenia producentów i dystrybutorów, więc z pewnością znajdzie Pan w „Odkrywcy" interesujące Pana informacje.

* * *

Pan **Mariusz Wojtasik** z Piły. Przede wszystkim powinien Pan ustalić, kto jest właścicielem obiektu i czy istnieje możliwość wydzierżawienia. W jednym z najbliższych numerów postaramy się zamieścić artykuł wyjaśniający postępowanie w podobnych sprawach.

* * *

Bardzo dziękujemy za pozdrowienia na blankietach prenumeraty, za ciepłe słowa, które dołączacie Państwo nawet do krótkich liścików z prośbą o zamieszczenie ogłoszenia bezpłatnego. Odwzajemniamy wszelkie serdeczności. I – jak zwykle – prosimy o listy. Redakcyjna skrzynka czeka.

(mar)

Odkrywanie w Internecie

Promować „kulturę piwa"
http://ikki.com.pl/brapiw/nowosci.htm

W grudniu 1995 roku Sąd Wojewódzki w Łodzi zarejestrował Towarzystwo Promocji Kultury Piwa – Bractwo Piwne. Na stronie Bractwa – wywiad z Wielkim Mistrzem Lechem Pietrzakiem, prezentacja Kapituły, statut i odsyłacze na inne strony piwne polecane przez Bractwo.

Sowieckie bunkry na Podlasiu
http://www.rsi.com.pl/urlop/tu3-97/bunkry.htm

„Zajrzeliśmy do wnętrza budowli, odnaleźliśmy ludzi, którzy tam byli, odnaleźliśmy tych, którzy badali wnętrza po wojnie" – pisze autor materiału o umocnieniach sowieckich na Podlasiu, znanych jako Linia Mołotowa. (A przy okazji pytanie do osób zajmujących się fortyfikacją: używa się określenia „bunkier" czy nie? Dlaczego jedni nas za to besztają, a inni nie widzą powodu do oburzenia?)

Twierdza grudziądzka
http://www.grudziadz.pl/twierdza.html

Wybudowano ją z rozkazu króla Fryderyka II Wielkiego w latach 1776-1786. Była oblegana przez wojska napoleońskie, w jej murach więziono powstańców listopadowych i styczniowych, stanowiła ostatni punkt oporu wojsk niemieckich w 1945 roku. To jeden z nielicznych tak dobrze zachowanych zabytków sztuki obronnej w Polsce.

Fascynująca rzeka Gwda
http://www.elka.pw.edu.pl/maluch/przewodniki/gwda.html

Wakacje, więc wymarzony czas na odkrywanie uroków różnych zakątków kraju. Autorzy strony proponują spływ rzeką Gwdą. Informują, co można po drodze zobaczyć, w jakich miejscach należy uważać, z jakich skorzystać map i przewodników.

Rady dla podróżników
http://monk.uranos.eu.org/tramp/rady.htm

To również strona wakacyjna. Dobre rady dla wybierających się do Szkocji, Islandii, Mongolii, Kenii i innych krajów: co warto wziąć ze sobą, czego w żadnym wypadku nie robić, gdzie zdobyć wizę, na co się zaszczepić i tak dalej. Informacji na pewno nigdy za dużo.

Jeżeli lubisz minerały...
http://pc69.wbc.lublin.pl/Mineraly/Harmonogram/gieldypolska.html

Harmonogram giełd minerałów w Polsce i w Czechach, muzea mające zbiory mineralogiczne, mapy przydatne w poszukiwaniach kamieni, literatura przedmiotu – informacje te z pewnością zainteresują tych, którzy lubią i zbierają minerały.

MD, mar

Strona internetowa „Odkrywcy"

www.odkrywca.lm.pl

Zniknął schron

Od naszego stałego czytelnika, pana Arkadiusza Mitury, otrzymaliśmy alarmujący list:

Będąc na wypadzie po pozycjach olsztyńskiej i szczycienieckiej w marcu br. zauważyłem brak betonowego schronu bojowego. Obiekt należał do pozycji szczycienieckiej i znajdował się w miejscowości Warchały, woj. warmińsko-mazurskie (droga ze Szczytna do Jedwabna). Skandal!

Jeżeli ktoś wie, co się stało ze schronem w Warchałach, prosimy o informację.

Otrzymaliśmy katalogi ofertowe

- Antykwariatu „POLIART" Beaty Kalke (42-600 Tarnowskie Góry, tel./fax 032 285 74 39). 2058 pozycji (głównie XIX i XX w.). Książki, czasopisma, plany miast, mapy.
- Antykwariatu Naukowego z Krakowa (31-019 Kraków, ul. Floriańska 15, tel./fax 012 422 73 26, tel. 012 429 63 26). 774 pozycje: książki XIX- i XX-wieczne, grafika – widoki miast, czasopisma.

Wycieczka do Królewca!

Redakcja „Odkrywcy" wraz z Biurem Turystycznym „PORTUR" z Elbląga (tel./fax (055) 232 73 73, 232 84 71)

zaprasza na wycieczkę do Kaliningradu, czyli historycznego Królewca, w dniach 26-28 sierpnia 1999 r.

PROGRAM

26 sierpnia 1999 r.
- godz. 7.30 – zbiórka na parkingu przed Dworcem PKP w Elblągu; wyjazd na granicę Gronowo-Mamonowo, przekroczenie granicy;
- godz. 12.30 – spotkanie z przewodnikiem w Kaliningradzie; wyjazd do miasteczka Jantarnyj, zwiedzanie Kombinatu Bursztynowego Kopalni, zwiedzanie Bałgi i Świetłogorska;
- godz. 19.00 – powrót do Kaliningradu na nocleg (hotel kategorii turystycznej, toalety i natryski na kondygnacji);

27 sierpnia 1999 r.
- godz. 9.00 – spotkanie z przewodnikiem i zwiedzanie zamków krzyżackich: TAPIAV, GEORGIENBURG, INSTERBURG oraz ewentualnie części fortyfikacji Królewca;
- godz. 19.00 – powrót do Kaliningradu na nocleg;

28 sierpnia 1999 r.
- godz. 9.00 – spotkanie z przewodnikiem, zwiedzanie miasta: Katedra, Muzeum Bursztynu, umocnienia Królewca: bramy, baszty, bastiony, fort nr 5; (zwiedzanie trwa ok. 5-6 godzin);
- godz. 16.00 wyjazd do Elbląga (przyjazd na miejsce godz. 19.30);

Koszt wycieczki wynosi **180 zł** od osoby. **Cena ta obejmuje:**
- przejazd autokarem klasy turystycznej z koncesją,
- opłatę ekologiczną,
- 2 noclegi w hotelu kat. turystycznej,
- usługi przewodnika (w języku polskim),
- vaucher grupowy,
- ubezpieczenie KL + NW na pobyt za granicą,
- opiekę pilota polskiego.

Wyżywienie uczestnicy organizują we własnym zakresie.

Przypominamy, że każda osoba biorąca udział w wycieczce musi mieć aktualny paszport.

Zainteresowani wyjazdem (liczba miejsc ograniczona) proszeni są o dokonanie wpłaty ww. kwoty przekazem pocztowym na adres Redakcji: ul. 3 Maja 32, 62-500 Konin w nieprzekraczalnym terminie do dnia 6 sierpnia 1999 r. (Decyduje data wpływu pieniędzy do Redakcji.)

W przypadku dużego zainteresowania istnieje możliwość powtórzenia wycieczki w terminie 10-12 września 1999 r. Dlatego prosimy o zaznaczenie na odwrocie dowodu wpłaty, czy w przypadku niezakwalifikowania się na wyjazd w pierwszym terminie wpłacający zainteresowany jest wyjazdem w drugim terminie.

Prosimy koniecznie podać na przekazie telefon kontaktowy! Prosimy też o kontakt z Redakcją w dniach 10 i 17 sierpnia 1999 r. w godz. 10.00-14.00, tel. (063) 242 82 32, w celu potwierdzenia wpłaty i udziału w wycieczce.

26 sierpnia spotykamy się o godz. 7.30 w Elblągu. Na spóźnialskich nie czekamy!

Piknik archeologiczny

Jak nas poinformował współpracujący z „Odkrywcą" Zbyszek Rekuć, 22 maja w Warszawie odbył się Piknik Naukowy, zorganizowany pod patronatem Radia BIS. Spotkanie poświęcono problemom ochrony dziedzictwa archeologicznego. Prezentowano odkrycia stanowisk archeologicznych przy pomocy zdjęć lotniczych, można było obejrzeć makietę przekroju kurhanu, kupić ciekawe książki, spróbować sztuki klejenia skorup (oczywiście kopii) – tak jak to robią archeolodzy.

Świadczenia dodatkowe

Opłata zł .... gr ......

Nadawca (imię i nazwisko – nazwa)

ulica, nr domu, nr mieszkania, miejscowość

ozn. kodowe — poczta

PRZEKAZ POCZTOWY na zł 23 gr 00

Słownie dwadzieścia trzy złote

ADRESAT **WYDAWNICTWO „JMK" – Marek Dudziak**
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA"
62-510 KONIN, ul. 3 Maja 32
PKO BP O/KONIN 10202746-902450-270-1

Nr nadania — Stempel okręgowy — Dzień nadania — podpis przyjm. — podpis kontr.

Uwaga: Części zakreślone tłustą linią wypełnia nadawca atramentem, długopisem, drukiem, maszyną do pisania lub za pomocą tuszowego odcisku stempla.

PRENUMERATA

Przyjmujemy zamówienia na numery od 7/99 (sierpień) do 11/99 (grudzień). Cena prenumeraty do końca roku, czyli pięciu numerów, wynosi 23 złote. (Jeżeli będziecie Państwo zamawiać pojedynczo kolejne numery, cena jednego egzemplarza wynosi 5 złotych.) Prosimy wypełnić przekaz pocztowy według wzoru, na odwrocie napisać „prenumerata do końca roku" i przesłać pod adresem Wydawnictwa należność za pięć egzemplarzy – 23 złote.

BARDZO PROSIMY O CZYTELNE WYPEŁNIENIE PRZEKAZU I PODANIE DOKŁADNEGO ADRESU, POD KTÓRY MAMY WYSŁAĆ „ODKRYWCĘ".

OGŁOSZENIA BEZPŁATNE

Drukujemy bezpłatnie ogłoszenia zawierające do trzydziestu słów (nie licząc adresu). Prosimy o czytelne pismo! Za treść ogłoszeń nie odpowiadamy. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji.

• POSZUKUJĘ widokówek, medali, książek, exlibrisów, odznaczeń z tematu: Częstochowa, ziemia częstochowska – wydanych do 1845. Posiadam dużo materiału wymiennego – zawsze aktualne. Biernacki, skr. poczt. 636, 42-217 Częstochowa.

• ANTYKWARNIA wysyła oferty własne proponowanych książek, pism, widokówek, w tym dużo pozycji o broni, odznaczeniach, monetach, fortyfikacjach czy poszukiwaniach – proszę o adresy najlepiej na widokówce ze swojego miasta. „Niezależna", ul. Kopernika 4, 42-200 Częstochowa.

• NIEPOPRAWNY sympatyk eksploracji pozna podobnych sobie zapaleńców (tematy: walki nad Rawką 1914-15, fortyfikacje niemieckie nad Rawką, w Inowłodzu, Tomaszowie itp.), korespondencja, wypady w teren. Piotr Moskwa, ul. Miedniewicka 24a, 96-100 Skierniewice.

• WYKRYWACZE metali z rozróżnianiem lub bez. Zasięg 3 metry, gwarancja, nowe, profesjonalne. Tanio sprzedam. Jacek Sekuła, ul. Batorego 58, 38-300 Gorlice, tel. (018) 353 11 49.

• SPRZEDAM wykrywacze metali typu Pulse Induction (PI) o zasięgu w gruncie 210 do 300 cm. Przyrząd jest prosty w obsłudze, waży 1,45 kg i nie powoduje zmęczenia ręki. Cena za sztukę 650 zł. Przemysław Zapart, ul. Topolowa 5, 28-300 Jędrzejów, tel. (041) 386 31 86.

• POSZUKUJĘ materiałów oraz map o działaniach pierwszo- i drugowojennych z Giżycka i okolic. Artur Śnieżko, ul. Kazimierza Wielkiego 1/12, 11-500 Giżycko, tel. (087) 428 64 88.

• SPRZEDAM tanio lub wymienię na militaria sprawny, używany wykrywacz metali firmy White's, model Classic III. Wykrywacz posiada dyskryminację. Tel. 0604 804 172.

Zalety i wady wykrywaczy

Po przeczytaniu w Waszym czasopiśmie paru artykułów dotyczących wykrywaczy metali, chciałbym dorzucić kilka słów o tych urządzeniach z punktu widzenia producenta.

Wykrywaczami metali zajmuję się zawodowo od 1983 r. Wykonywałem jednocześnie dwa typy urządzeń: PI oraz VLF-y. Po kilkunastu latach doświadczeń zawodowych, zrezygnowałem z wykrywaczy typu VLF, a zająłem się rozwojem PI. Uznałem VLF za mało perspektywiczny. Dalsza natomiast praca nad PI dawała szansę na duży zasięg. Dlaczego uznałem VLF za mało perspektywiczny? Przecież gros firm zachodnich ma w swojej ofercie praktycznie tylko te urządzenia.

Chcąc być rzetelnym wobec potencjalnego użytkownika, należy zachwalać zalety sprzętu, ale nie można przemilczać jego wad. Każde urządzenie ma wady. Wybór powinien należeć do użytkownika. Podstawową zaletą wykrywacza typu VLF jest dyskryminacja, czyli rozróżnianie między metalami ferromagnetycznymi a dia-, paramagnetycznymi. Jest to duża zaleta, lecz jednocześnie istotna wada. Szukany przedmiot nie może być większy od ok. 40 procent promienia cewki, nie średnicy. Przy przedmiocie o większej powierzchni wykrywacz zawsze „skłamie" i pokaże „kolor". Z dyskryminacją związany jest także problem eliminacji wpływu gruntu. Jak się on objawia?

W urządzeniach typu zrównoważony mostek po jego włączeniu należy przyciskiem, najczęściej w rączce, wyzerować mostek. Wskazówka wskaźnika ustawi się na środku. Następnie opuszczamy cewkę nad grunt na wysokość, na jakiej będziemy przeszukiwać teren. W czystym gruncie urządzenie nie zareaguje. W terenie zmineralizowanym wskazówka odchyli się w prawo lub w lewo. Oznacza to konieczność eliminacji wpływu gruntu potencjometrem „GRUNT". I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie pewne „ale". Dokonaliśmy eliminacji wpływu gruntu w tym konkretnym miejscu. Niestety, o metr dalej może już być zupełnie inny grunt i inna mineralizacja. Regulację należy powtórzyć. I tak w zasadzie za każdym razem po przejściu paru kroków. Jest to bardzo denerwujące i praktycznie szybko uodparnia użytkownika na wskazania przyrządu. Z tego powodu średni zasięg maleje o 30 do 40 procent. W urządzeniach nowszej generacji (z uwagi na postęp w elektronice) ucieka się od tego typu problemu w sposób następujący:

W związku z tym, że wykrywacze typu VLF działają na zasadzie przesunięcia fazy między dwoma sygnałami, możliwe jest takie postępowanie, jak opisane poniżej. Wybiera się (producent) kilka kształtów przebiegu fazy odpowiadających określonym przedmiotom i wyświetla się je na wyświetlaczu ciekłokrystalicznym. Dzięki temu urządzenie ma wspaniały wygląd. Tylko, niestety, żaden producent ani sprzedawca nie informuje, że nie jest to telewizor. I że w pamięci urządzenia zapisane jest zaledwie kilka kształtów przesunięć fazy (np. gwóźdź, folia, obrączka, pierścionek, kapsel), a urządzenie „pokaże" obraz taki, jak zakwalifikuje przesunięcie fazy. Jednocześnie, żeby wykrywacz pokazywał w powietrzu prawidłowo to, co zostało zapisane w jego pamięci, ogólne wzmocnienie układu musi zostać zmniejszone. Ponadto im większa cewka (średnica), tym większy problem z gruntem. Aby to wszystko pogodzić, wybrano optymalne rozwiązanie, tj. zastosowano cewkę o średnicy 10", czyli ok. 25 cm. Zmniejsza się zasięg w stosunku do możliwości mostka, ale jest wyświetlacz. Oczywiście, są także stosowane cewki o średnicy 38 cm. Zwiększają zasięg wykrywania o ok. 30 procent. Jednakże w praktyce zysk z większej średnicy „zjada" mineralizacja gruntu.

Zasięg – to podstawowy parametr, o który pytają klienci. A powinni także pytać o stabilność układu przy maksymalnym wzmocnieniu (maksymalnym zasięgu). Potencjalny użytkownik powinien także wiedzieć, że jeżeli po włączeniu i ustawieniu na maksymalny zasięg urządzenie jest niestabilne (przyspiesza, zwalnia, pracuje nierówno), to na pewno nie oznacza, że obok pomieszczenia, w którym odbywa się demonstracja, złośliwy sąsiad włącza coś, co zakłóca pracę wykrywacza czy wzdłuż budynku położono nowy kabel energetyczny, ale prawie zawsze oznacza to, że urządzenie jest po prostu złe.

Następnie należy zwrócić uwagę na średnicę cewki. Średni zasięg na monetę np. 1 zł (przed denominacją) o średnicy ok. 25 mm równa się średnicy cewki – pomiar dokonany w powietrzu.

Nie mniej ważne jest także zasilanie urządzenia. Kupując wykrywacz z cewką o średnicy 20 cm i zasilaniem pojedynczą baterią 6 lub 9 V, musimy liczyć się z bardzo małymi zasięgami. Właśnie z uwagi na to, że w VLF nie da się zwiększyć zasięgu poza pewne maksimum (ok. 3 m dla bardzo dużych przedmiotów – np. samochód) i ze względu na problemy związane z mineralizacją oraz ze stabilnością, która ogranicza maksymalny zasięg, zrezygnowałem z wykonywania VLF na rzecz PI.

Jak każde urządzenie, także i to ma swoje wady i zalety. Mnie przekonało ostatecznie to, że można zwiększyć zasięg w stosunku do VLF o 100 procent.

Po kolei. PI jest urządzeniem impulsowym, w którym o zasięgu decyduje średnica cewki oraz ilość energii dostarczona do niej. Tego wykrywacza w zasadzie nie stosuje się do szukania monet, chociaż przy cewce o średnicy 35 cm zasięg na monety to ok. 25 cm. Aby przekroczyć barierę 1 m zasięgu na puszkę 1l (po farbie), stosuje się cewki o średnicy 50 cm lub ramy 1 m x 1 m, a zasilanie 12 lub 24 V. Pobór energii jest następujący: cewka 50 cm – 350 mA, rama – 450 mA. Jak z tego widać, aby uzyskać duży zasięg, musimy zrezygnować z zasilania bateriami.

Zmuszanie układu do poboru dużej ilość energii pozwala na zmniejszenie wzmocnienia i poprawienie stabilności. PI z zasilaniem bateryjnym i dużymi zasięgami jest z zasady niestabilny i wrażliwy na mineralizację gruntu. Dobrze zaprojektowany i wykonany PI nie ma prawa reagować na mineralizację gruntu i zmniejszać zasięgu w gruncie. Dźwięk wydobywający się z głośnika lub słuchawki powinien być miarowy, jak metronom. W przeciwnym wypadku oznacza to kłopoty dla kupującego.

Wykrywacze typu PI można zrobić także z rozróżnianiem metali (Fe – nFe). Lecz nie da się tutaj zastosować wyświetlacza ciekłokrystalicznego. Zasięg zaś „spada" o 50 procent. Ale PI ma także zalety:

Przy użyciu cewki o średnicy 50 cm lub ramy 1 m x 1 m – uzyskujemy coś, co jest niemożliwe w innych typach, a mianowicie wykrywacz „przestaje widzieć" metalową drobnicę wielkości pudełka zapałek – przy cewce 50 cm lub wielkości paczki papierosów – rama 1 m x 1 m.

Potencjalny użytkownik wykrywaczy metali po przeczytaniu tego tekstu zapewne będzie miał dylemat: jakie wybrać urządzenie? Dlatego też przez zakupem powinien zadać sobie kilka pytań i postarać się na nie odpowiedzieć.

Po pierwsze: Czego szukam – jaki to duży ma być przedmiot i na jakiej głębokości chcę go znaleźć.

Po drugie: Teren, w którym będą prowadzone poszukiwania (proszę pamiętać o kłopotach z mineralizacją gruntu).

Po trzecie: Czas pracy urządzenia – VLF kilkadziesiąt godzin, PI kilka godzin.

Po czwarte: Cena wykrywacza. VLF z cewką o średnicy 25 cm i wyświetlaczem ciekłokrystalicznym – ok. 1500 DM, PI z trzema wymiennymi cewkami o średnicach 20 cm, 50 cm, rama – ok. 5000 DM.

Po piąte: Polski czy zachodni? Polskie nie są wcale gorsze (oczywiście – dobrze wykonane), a mają ogromną zaletę – są dużo tańsze.

Jak z tego widać, wybór konkretnego urządzenia nie jest sprawą prostą. Każdy producent i sprzedawca zachwala swój produkt, więc przy wyborze wykrywacza należy przede wszystkim zachować zdrowy rozsądek.

Andrzej Stasiak

WYKRYWACZE METALI

Ceny już od 300 zł

DYSTRYBUTOR FIRMA „VIKING"

Sklep „ AZYMUT", ul. Corazziego 4 lok. 5, 00-087 Warszawa
(przy Placu Bankowym za Błękitnym Wieżowcem
tel./fax (0-22) 827-66-12

O tym się pisze

ZAMIAST SKARBU – AMUNICJA

Podczas prac telekomunikacyjnych na ulicy Grzybowskiej w Warszawie 10 maja br. natrafiono najpierw na szkielet konia, a potem posypały się pociski. Dziewięć sztuk pocisków moździerzowych i kilkaset sztuk amunicji wywieźli saperzy na poligon w Kazuniu, gdzie zostały zdetonowane. W tym samym czasie u zbiegu ulic Krochmalnej i Ciepłej operator koparki odkrył dwa półmetrowe pociski artyleryjskie, które spotkał taki sam los. W rejonie ulicy Grzybowskiej i Krochmalnej toczyły się podczas II wojny światowej ciężkie walki, stąd okolice te stanowią prawdziwy magazyn zardzewiałych pocisków. Informacja to ważna, ku przestrodze eksploratorów.

(RAF,IDA, *Zamiast skarbu wykopali stare granaty i amunicję*, „Życie Warszawy" – 11.05.1999 r.)

WIELKA WYPRZEDAŻ

Powołana w 1996 r. Agencja Mienia Wojskowego zajęła się zagospodarowaniem mienia nie wykorzystanego bądź wręcz zbędnego resortowi obrony narodowej. W 1998 r. przejęła ona od MON m.in. 177 nieruchomości o powierzchni 920 ha oraz obiekty o powierzchni 172 tys. metrów kwadratowych. Poza tym AMW objęła zarząd nad blisko 200 nieruchomościami wraz z ponad 1570 obiektami. Zainteresowani ich zakupem są przede wszystkim rolnicy oraz przedstawiciele drobnego i średniego biznesu. Dla kolekcjonerów też są rodzynki, bowiem Agencja sprzedaje również mienie ruchome, w tym sprzęt wojskowy z lat 60. i 70. Można więc kupić 62 wycofane z armii samoloty (także pozbawione cech bojowych myśliwce MIG-21), transportery SKOT, 600 sztuk różnego typu broni strzeleckiej oraz 80 tysięcy sztuk amunicji. AMW ma swoje terenowe oddziały w Warszawie, Bydgoszczy, Gdańsku, Gorzowie Wielkopolskim, Szczecinie, Krakowie, Lublinie, Olsztynie, Wrocławiu i Poznaniu. Istnieje ponadto odrębny oddział zajmujący się sprzedażą byłych lotnisk wojskowych.

(AXW, *Kup pan czołg*, „Dziennik Poznański" – 28.04.1999 r.)

KROŚNIEŃSKA WYSTAWA

W Muzeum Okręgowym w Krośnie otwarto wystawę archeologiczną „Skarby karpackich grodzisk". Eksponaty pochodzą z najstarszych osad obronnych w Polsce z okresu brązu – Trzcinicy, Brzozowa i grodziska w Trepczy koło Sanoka. Wystawa prezentuje największe odkrycia archeologiczne dokonane w karpackich warowniach. Są wśród nich przedmioty kultu religijnego, unikatowe monety, broń, narzędzia i ozdoby – arcydzieła średniowiecznej sztuki. Niewątpliwą atrakcję wystawy stanowią fotografie lotnicze karpackich warowni oraz makiety grodów w Trzcinicy i Trepczy. Zabytki pochodzą ze zbiorów Muzeum Historycznego w Sanoku, Instytutu Archeologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, Muzeum Okręgowego w Tarnowie oraz zbiorów własnych krośnieńskiej placówki.

(bm, *Skarby karpackich grodzisk*, „Supernowości" – 13.05.1999 r.)

ZŁOTO, DOKUMENTY I JAPOŃSKIE MIECZE

16 lutego 1944 r. amerykańskie bombowce niemal przez całą dobę zrzucały bomby na wyspę Truk w archipelagu Karoliny na południowo-zachodnim Pacyfiku. Zniszczono wówczas 200 samolotów i 32 okręty japońskie. Na jednym z dwóch zatopionych japońskich krążowników znajdują się, według danych amerykańskiego wywiadu, m.in. plany inwazji na Australię, listy osób, które miały być aresztowane po zajęciu tego kraju, schematy organizacyjne okupacyjnej administracji – dokumenty bezcenne dla historyków II wojny światowej. Są tam również duże ilości złota i biżuterii przeznaczone na opłacenie ewentualnych australijskich kolaborantów. Wszystkie dokumenty i kosztowności znajdują się w wodoszczelnych pojemnikach. Poszukiwacze skarbów nie próżnują. W wrakach znajdują oprzyrządowanie okrętów i samolotów, np. kompasy, dalmierze, chronometry, wysokościomierze, żyrokompasy, drążki sterowe itd. – prawdziwe drugowojenne muzeum. Ogromną sensację wywołało znalezienie pary japońskich mieczy – disho: miecza katana oraz miecza wakizashi, pełniącego zarówno funkcje orężne, jak i przeznaczonego do popełnienia rytualnego, rycerskiego samobójstwa – seppuku. Komplet mieczy przekazywany z pokolenia na pokolenie należał najprawdopodobniej do dowódcy japońskiego zespołu okrętów stacjonujących na Truku, który nie zdążył ich użyć, gdy po ataku amerykańskich bombowców statek szybko szedł na dno. Wraki leżą na głębokości od 10 do 100 metrów, do większości z nich nie można więc dotrzeć bez specjalistycznego sprzętu. Poszukiwacze skarbów z całego świata zdążają na Truk. (Tu – rada praktyczna: najpierw trzeba polecieć do USA – Hawaje, potem linia Continental Air Micronesia na Karoliny.) Na wyspie brak elektryczności, poszukiwacze z reguły śpią w namiotach korzystając z własnych kuchenek na butle gazowe.

(Henryk Kawka, *Na Pacyfik po skarby*, „Bez pardonu" – 15.05.1999 r.)

FAŁSZERZE W AKCJI

Gdy zwiększa się popyt na dzieła sztuki, do akcji ruszają fałszerze – mówi przedstawiciel Domu Aukcyjnego „Unicum" w Łodzi. Często fałszowane są modne obecnie rysunki Nikifora i scenki erotyczne Mai Berezowskiej. Niedawno profesor Marian Morka z Muzeum Narodowego zakwestionował autentyczność pewnej kolekcji obrazów. Dzieła przypisywane XVII-wiecznym mistrzom flamandzkim okazały się przemalowanymi płótnami artystów XIX-wiecznych. Łódzcy antykwariusze spotkali się z falsyfikatami prac Juliana Fałata, którego „Akwarele" postarzone zostały esencją herbaty. Z kolei kwasem ogórkowym postarza się figury rzekomo z brązu, a w rzeczywistości współczesne odlewy z mosiądzu (powstaje zielonkawy nalot). XVIII-wieczne antyki cynowe fałszerze uzyskują kąpiąc współczesne odlewy w kwasie siarkowym z akumulatora. Falsyfikaty skrzypiec Stradivariusa pochodzą z XIX-wiecznych manufaktur w Czechach i Niemczech. „Ludzie dają się nabrać na magiczny podpis, nie zdając sobie sprawy, że na całym świecie zachowało się tylko 6 czy 8 autentycznych skrzypiec" – pisze autor artykułu wprowadzającego nas w świat fałszerzy i wielkich pieniędzy.

(Włodzimierz Kupisz, *Antyk z... akumulatora*, „Trybuna Łódzka" – 18.05.1999 r.)

SKARB CHRISTOPHA VON ZEDLITZA

Na początku XVI wieku grasował na ziemiach bolesławieckiej, lwóweckiej i złotoryjskiej śląski rycerz-rabuś Christoph von Zedlitz, znany powszechnie jako „Schwarzen Christoph". Był rycerzem ze znanego i licznego rodu von Zedlitzów, a jego zamek znajdował się w Górnej Olszanicy koło Grodźca. Łupił i bogatych, i biednych, i kupców, i mieszczan. W 1512 roku został pojmany przez mieszkańców Złotoryi i przekazany sądowym władzom Legnicy. Tam blisko rok przesiedział w Wieży Rycerskiej, a po procesie przed sądem książęcym skazano go na karę śmierci. W trakcie procesu ani sam Schwarzen Christoph, ani też osiemnastu jego kompanów ujętych i osądzonych razem z nim nie wyjawiło miejsca ukrycia zrabowanych dóbr. W ciągu minionego półwiecza parokrotnie podejmowano próby odnalezienia legendarnego skarbu. Po 1945 r. częstymi gośćmi na terenach Nowej Wsi Grodzkiej, Grodźca, Pielgrzymki i Jerzmanic byli niemieccy turyści wyposażeni w sprzęt alpinistyczny i wykrywacze metali. Nie wiadomo, czy cokolwiek znaleźli. Mieszkańcy Złotoryi anonimowo opowiadają, że część skarbu wywieziono za granicę. Według nich odnalezienie pozostałej części jest tylko kwestią czasu.

(Krzysztof Klementowicz, *Nęcące złoto groźnego watażki*, „Nowiny Jeleniogórskie" – 18/24.05.1999 r.)

SCHRONY WAŁU POMORSKIEGO

Zachowane na ziemi gorzowskiej pozostałości Wału Pomorskiego, czyli zespołu niemieckich umocnień stałych, pochodzą z lat 1932-1944. Wybudowano je wzdłuż Noteci i Drawy. W latach 1951-1957 polscy saperzy wysadzili w powietrze wszystkie zlokalizowane obiekty, a płyty i kopuły pancerne przewieźli na złomowiska. W ten sposób na całej ziemi gorzowskiej do dziś zachowały się tylko dwa żelbetowe schrony. Pierwszy z nich – niewielki, przeznaczony dla obserwatora artylerii – znajduje się na terenie cmentarza w Starym Osiecznie. Wewnątrz zachowało się składane siedzenie dla obserwatora i stolik na mapy. Drugim zachowanym obiektem jest schron bojowy usytuowany na zachodnim krańcu Zwierzyna przy ul. Nowoteckiej 1, po lewej stronie drogi wylotowej do Górecka, na terenie gospodarstwa Mirosława Tatura. Początkowo na schronie stała stodoła, był więc całkowicie niewidoczny. W przedsionku obiektu umieszczono napis zawierający rok budowy – 1937, nazwę grupy bojowej – Stein 13 oraz numer odcinka – Ab 4, co świadczy o tym, że był to trzynasty schron w grupie bojowej „Przysieka". Szczegółowy opis obu obiektów znajdujemy w artykule Zbigniewa Milera.

(Zbigniew Miler, *Ostatni bunkier Wału Pomorskiego*, „Ziemia Gorzowska" – 6.05.1999 r.)

Opracowała Jola Dudziak

Buszujący (nie tylko) w powietrzu

„Przegląd Lotniczy – Aviation Revue", miesięcznik lotnictwa sportowego i amatorskiego, ukazuje się od 1993 roku. Skierowany jest przede wszystkim do tych, którzy interesują się podniebnymi sportami – lotnictwem, szybownictwem, paralotniarstwem – i sami je uprawiają.

Redakcja „PLAR" przysłała nam numer marcowy, w którym zainaugurowano dział „Z lotniczego strychu", poświęcony historii lotnictwa. W słowie wstępnym redagujący tę stronę Szymon Serwatka pisze m.in.:

(...) Kończący się XX wiek był okresem intensywnego rozwoju lotnictwa, obfitującym w niezwykłe zdarzenia. Historia lotnictwa działa się też na ziemiach polskich. Chciałbym, żeby historia stała się dla nas wszystkich namacalna i bliska. W wielu miejscach – na lotniskach, polach, w jeziorach, domach, garażach, szopach i Bóg wie gdzie jeszcze istnieją jej materialne ślady. Po hangarach walają się nikomu niepotrzebne rzeczy, które czekają, aby opowiedzieć swoje często niezwykłe dzieje. Uważam, że warto starać się, aby te przedmioty odzyskały swoją tożsamość i były ocalone od zapomnienia.

Wokół nich będą osnute opowieści nowego działu „Z lotniczego strychu", który niniejszym inaugurujemy. (...) Będzie można tutaj przeczytać o akcjach wydobywczych, wydarzeniach, odbudowach maszyn i o czym tylko chcecie.

Bardzo chciałbym, żeby ta strona była forum wymiany informacji i dlatego chętnie będę otwierał listy od Was z komentarzami, sugestiami i opowieściami. (...)

I w tymże numerze marcowym możemy przeczytać artykuł o śmigle z czasów wojny odkrytym... w łazience pewnego mieszkania w Poznaniu. Jak widać, Czytelnicy „Odkrywcy" również znajdą w „PLAR" coś dla siebie. Jeżeli penetrując rozmaite zakamarki traficie na elementy samolotów lub inne przedmioty związane z lotnictwem, a nie będziecie umieli ich zidentyfikować, Redakcja „PLAR" deklaruje pomoc.

Tak to już jest – swój zawsze swego pozna. Jedni przeszukują ziemię i wodę, inni buszują w powietrzu, ale gna ich to samo trudne do określenia „coś" i sprawia, że „szukania im trzeba".

Adres Redakcji:
00-654 Warszawa
ul. Śniadeckich 17
tel. (022) 621 92 66,
tel./fax (022) 622 08 66

„Dawna Broń i Barwa"

W numerze 18. czasopisma wydawanego przez Stowarzyszenie Miłośników Dawnej Broni i Barwy Oddział Górnośląski w Katowicach zamieszczono następujące materiały:

- Książę Józef Poniatowski i jego mundur na niektórych portretach z lat 1806-1814
- Order „Virtuti Militari" w carskich odznakach pułkowych z końca II połowy XIX w. do 1917 roku
- Zapomniana „pierwsza fabryka broni siecznej"
- Ułani brytyjscy 1793 r. – uzupełnienia

Adres Redakcji:
Zbigniew Fuiński
41-902 Bytom ul.
Prusa 30 m. 8
tel. 281 33 37

Z „Kurierem" po Mazurach

„Mazurski Kurier" krąży po Giżycku, Kętrzynie, Węgorzewie, Orzyszu, Mikołajkach, Ełku i Olecku. Przynosi informacje o lokalnych wydarzeniach i związane z regionem ciekawostki. Ale że nasz miły „Kaczor", czyli znany Czytelnikom „Odkrywcy" Bogusław Stańczuk, mocno w sprawie palce macza – nie brak w „Kurierze" tekstów poświęconych historii, zwłaszcza historii fortyfikacji, a także materiałów o działalności eksploratorów. Życzymy sukcesów i satysfakcji poszukiwawczo-dziennikarsko-redakcyjnej.

Adres Redakcji:
11-500 Giżycko
ul. Mickiewicza 26 (II p.)

Pieniądz zastępczy w Częstochowie

Książkę Aleksandra Gąsiorskiego „Historia częstochowskiego pieniądza zastępczego 1861-1939" wydano z potrójnej okazji: 125-lecia Banku Handlowego w Warszawie SA, 150. rocznicy zorganizowanego ruchu numizmatycznego w Polsce oraz II Walnego Zjazdu w Częstochowie Delegatów Polskiego Towarzystwa Numizmatycznego. W publikacji omówiono szczegółowo problematykę częstochowskich pieniędzy zastępczych od powstania styczniowego do wybuchu drugiej wojny światowej. Cenne uzupełnienie monografii stanowi katalog opracowany przez autora.

(Wydawnictwo Politechniki Częstochowskiej, Częstochowa 1995.)

Dzieje „złotego miasta"

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej wydało w 1997 roku książkę „Dzieje Złotoryi", opracowaną przez zespół pod redakcją Ryszarda Gładkiewicza. W publikacji przedstawiono historię miasta

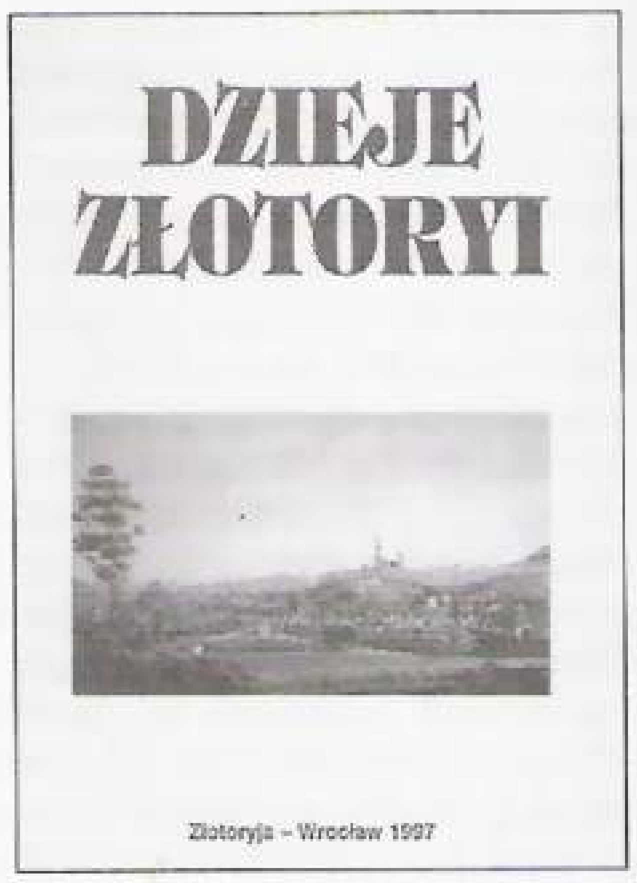

od pradziejów aż do połowy lat dziewięćdziesiątych XX wieku, odnosząc się do wszystkich dziedzin życia – społeczno-gospodarczej, politycznej i kulturalnej. Oczywiście są także informacje o środowisku geograficzno-przyrodniczym Złotoryi, w tym o bogactwach naturalnych. (Także – mówiąc o Złotoryi – nie mówić o złotonośnych osadach.) Opracowanie wzbogacono planami, mapami, reprodukcjami rycin, pocztówek, fotografiami (w tym – barwne). Uzupełnienie stanowią wykazy władców i władz miejskich Złotoryi oraz tablica chronologiczna, ponadto – wybór bibliografii i resúmé w języku niemieckim.

315 stron, twarda oprawa, szycie nićmi. Cena – 30 zł + 5 zł koszty przesyłki. (Wpłaty tylko przekazem pocztowym!)

Zamówienia można kierować pod adresem:
Sylwia Dudek
Rynek 1/3
59-500 Złotoryja

Łódzki Klub Odkrywców „PENETRATOR”

Łódzki Klub Odkrywców „PENETRATOR” działa od 1994 roku. Tworzy go mała, stała grupa osób o bardzo zróżnicowanych zainteresowaniach – od amatorskiej archeologii, przez „klasyczną” eksplorację, radiestezję, po bioenergetykę. W roku 1996 Klub został zarejestrowany jako stowarzyszenie zwykłe i zajmuje się, zgodnie z regulaminem, pracami eksploracyjnymi na terenie Polski. Głównym jednak obszarem działania jest miasto Łódź wraz z okolicami.

Zanim powstał Klub Stanisław Marszałek, archeolog-amator (czytaj – miłośnik przeszłości) oraz Marian Kaczmarek – późniejszy prezes Klubu, radiesteta, postanowili wykonać eksperyment sprawdzający możliwości zastosowania szeroko rozumianej radiestezji w poszukiwaniach archeologicznych. W ten sposób w ciągu dwóch lat w niezliczonej ilości wypraw powstał katalog wraz z dokumentacją około 150 obiektów historycznych, z czego 20 zostało potwierdzonych znalezionymi zabytkami ruchomymi (badania powierzchniowe). Wśród tych obiektów są między innymi: kościół romański, dwory, pałace, zamki, miejscowości zaginione. Niewątpliwie interesujące odkrycie stanowią znaleziska potwierdzające istnienie średniowiecznego ośrodka metalurgicznego na wyspie z zamkiem krzyżackim w Bobrownikach.

„Penetrator” przyczynia się do opracowania historii miasta

Sukcesem Stanisława Marszałka jest odkrycie poszukiwanego przez archeologów średniowiecznego grodziska na granicy Dobieszkowa i Imielnika Starego, grodziska w rejonie Julianowa, kurhanu książęcego w okolicach Łodzi oraz podejrzenie odkrycia grobowca kujawskiego (cmentarzysko megalityczno-kurhanowe) również w rejonie Łodzi.

Plonami tych i wcześniejszych wypraw są między innymi kolekcja kompletu naczyń z okresu halsztackiego, kolekcja średniowiecznej ceramiki i wyrobów z żelaza znalezionych w Bobrownikach, która w 1967 r. została przekazana do Muzeum Archeologicznego w Łodzi. Warto zaznaczyć, że po konserwacji muzealnej część znaleziska wróciła do odkrywcy i stanowi jego prywatną kolekcję.

Chcę podkreślić również inną dziedzinę, która budzi wiele kontrowersji i uśmiechów wśród wielu, a którą interesuje się od dawna Łódzki Klub Odkrywców „PENETRATOR”. Jest nią radiestezja – dziedzina uznana na świecie, gdzie być może żyją ludzie o bardziej otwartych umysłach. Nawiązaliśmy kontakt z The British Society Of Dowsers i wymieniamy swoje doświadczenia. Członkowie klubu, Marian Kaczmarek i Andrzej Brzeziński, opracowali wiele oryginalnych metod badawczych, przy pomocy których analizują odkryte przez siebie różne rodzaje anomalii geologicznych, tj. stref zaburzeń energetycznych będących źródłem różnych chorób, między innymi nowotworowych.

Kolejną „specjalność” klubową prezentuje Zbigniew Błaszczyk, który zajmuje się bioenergetyką pojętą w sposób holistyczny, a potwierdzoną tytułem rzemieślniczym – czeladnika bioenergoterapii. Jest to osoba, która ze względu na swoją wrodzoną pogodę ducha zawsze pozytywnie nastawia wszystkich członków Klubu.

Jak widać „Penetrator” zrzesza ludzi o różnych zainteresowaniach, ale wszystkich łączy jedno: odkrywanie nieznanego.

Do największych osiągnięć w dotychczasowej działalności Klubu należy zaliczyć:

- Odkrycie oraz opracowanie dokumentacji systemu podziemnych umocnień militarnych z czasów II wojny światowej pod obecną ulicą Pabianicką w Łodzi (kilkadziesiąt artykułów w „Ekspresie Ilustrowanym” oraz prasie codziennej innych miast).

Poszukiwaczy z „Penetratora” łączy pasja odkrywania nieznanego

- Opracowanie wstępnej dokumentacji radiestezyjnej schronów – tuneli kolejowych w Jeleniu i Konewce.
- Opracowanie wstępnej dokumentacji oraz przygotowanie terenu do eksploracji wojennej siedziby Armii Łódź.
- Odkrycie unikatowych, nie publikowanych zdjęć z niemieckiej kroniki filmowej.
- Opracowanie dokumentacji historycznej oraz wstępna eksploracja nieinwazyjna budynku Łódzkiego Towarzystwa Kredytowego w Łodzi (okres powstania 1872 r).
- Opracowanie dokumentacji oraz otrzymanie zgody właściciela terenu na eksplorację zamku prymasowskiego z 1355 roku w Łowiczu.
- Znalezienie unikatowej kolekcji negatywów fotograficznych na płytkach szklanych z czasów II wojny światowej.

Łódzki Klub Odkrywców „PENETRATOR” współpracuje z Muzeum Archeologicznym w Łodzi, konserwatorami zabytków, Łódzkim Klubem Eksploracyjnym „Labirynt 96” i innymi.

Poza tym nawiązaliśmy współpracę z amerykańską firmą J.W. FISHER MGF.INC, z którą prowadzimy regularną korespondencję. Firma ta zajmuje się produkcją sprzętu do eksploracji podwodnej. Ten kontakt wynika z zainteresowań Stanisława Marszałka, który jest konstruktorem unikatowych rozwiązań sprzętu podwodnego (na zdjęciu jeden z zestawów). W roku 1985, na zamówienie Łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych, powstała pierwsza obudowa do kamery kinowej 35 mm, która od tego czasu służy do produkcji wszystkich polskich filmowych sekwencji podwodnych, np. filmu „VIP”. W roku 1989 Stanisław Marszałek skonstruował obudowę, która została zastosowana na głębokości ponad 300 m w badaniach Arktyki prowadzonych przez Polską Akademię Nauk. Ponadto przy pomocy zestawów jego produkcji powstał film podwodny pt: „Błękit Morza Czerwonego”, który zdobył wiele nagród, mówiący o florze i faunie Morza Czerwonego. Stanisław Marszałek jest również współautorem tego filmu.

W 1999 roku Klub był współorganizatorem IX Międzynarodowego Zlotu Miłośników Eksploracji w Spale oraz pomysłodawcą Pierwszych Otwartych Mistrzostw Polski w Eksploracji.

Jacek Franasik

Osobom zainteresowanym kontaktem z Łódzkim Klubem Odkrywców „PENETRATOR” podajemy adres korespondencyjny: Jacek Franasik, 91-224 Łódź, ul. Aleksandrowska 104 m. 86, tel.\fax 0 42 652 92 00, tel kom: 0-601 23 88 55 lub e-mail: maxwelt@polbox.com

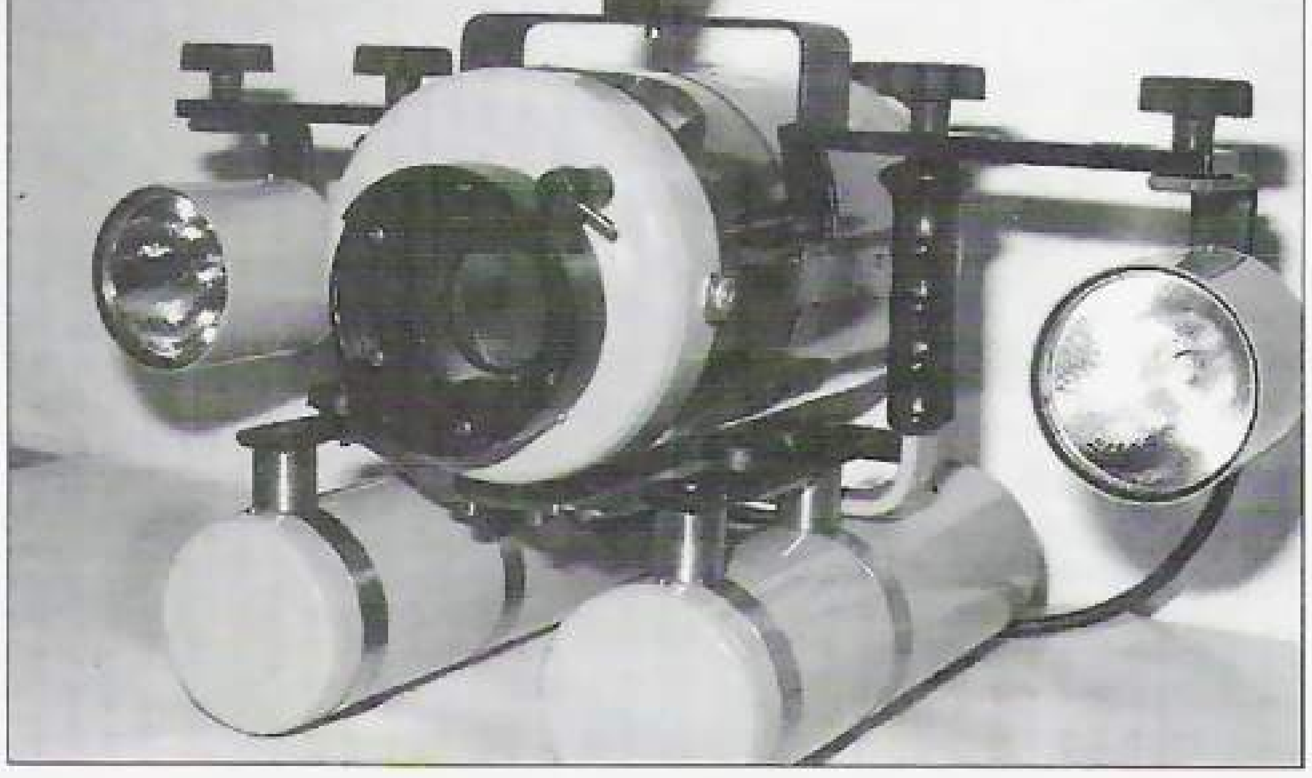

Jeden z zestawów do eksploracji podwodnej skonstruowany przez Stanisława Marszałka

...na wszystkie żywioły!

GORE-TEX®
Footwear

LM S.A.

wyłączny przedstawiciel
HAIX® – Schuhe GmbH

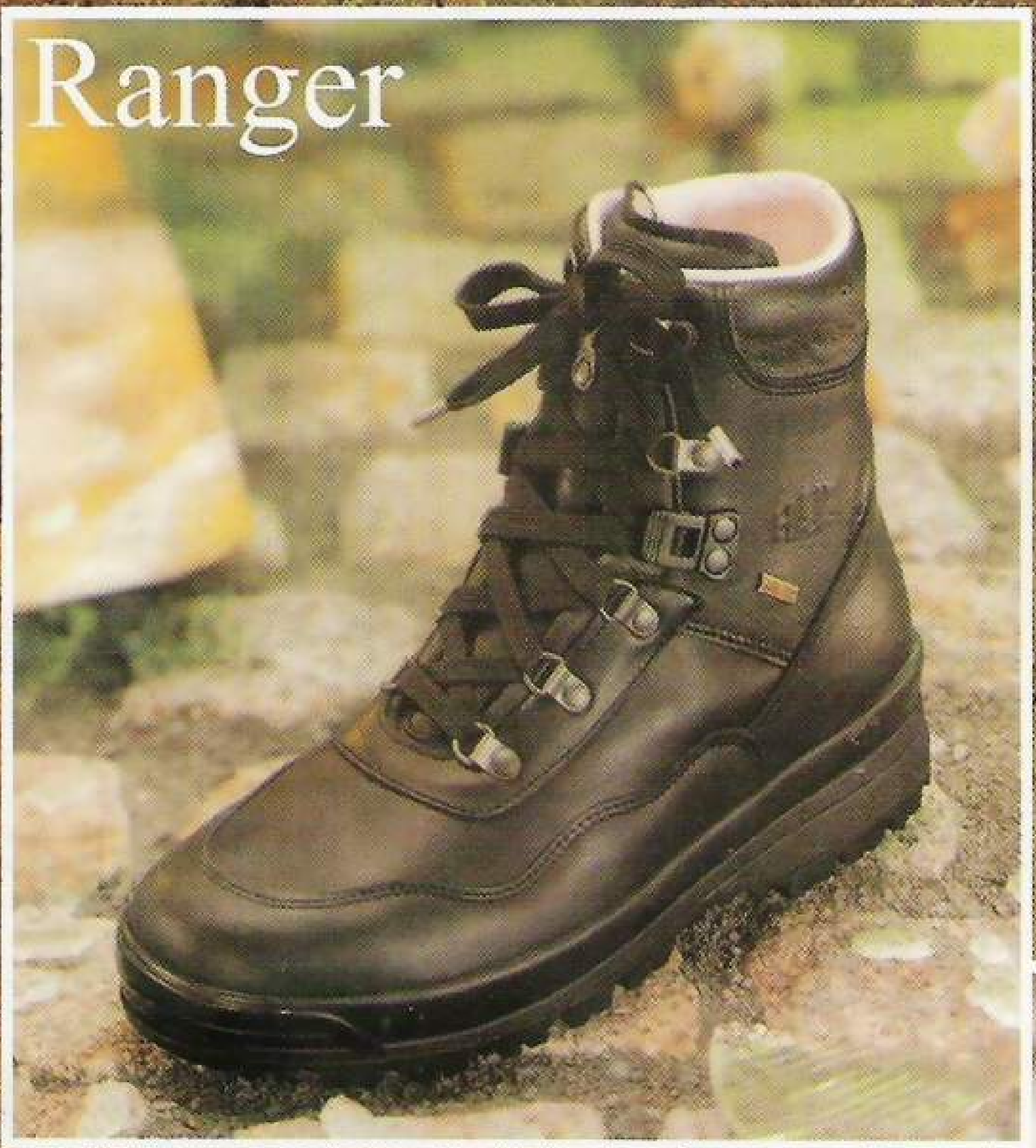

Przedsiębiorstwo LM S.A. jest wyłącznym przedstawicielem producenta specjalistycznych butów ochronnych HAIX® – SCHUHE. Firma HAIX®, dzięki zastosowaniu do produkcji obuwia najwyższej jakości materiałów, jest od 50 lat wiodącym producentem na rynku niemieckim.

Professional
HAIX®
High Tech

- Skóry wołowe pochodzące ze szwajcarskich i niemieckich garbarni są wolne od środków chemicznych i metali ciężkich szkodliwych dla zdrowia.
- Dla zapewnienia optymalnego komfortu użytkowania buty posiadają membranę klimatyczną GORE-TEX®.
- Podeszwa antyelektrostatyczna, odporna na działanie benzyn i olejów o bardzo dobrej przyczepności, ze specjalną warstwą pianki amortyzującej.
- Sznurowadła z KEVLARU®, nie absorbujące wody i brudu.
- Elementy metalowe odporne na korozję.

Pragniemy zaproponować Państwu wykonane z gładkiej skóry licowanej modele RANGER i HIGH WALKER, które z całą pewnością spełnią wszystkie oczekiwania pokładane w profesjonalnym obuwiu surviwalowym. Doskoskonałe także dla pracowników służb mundurowych.

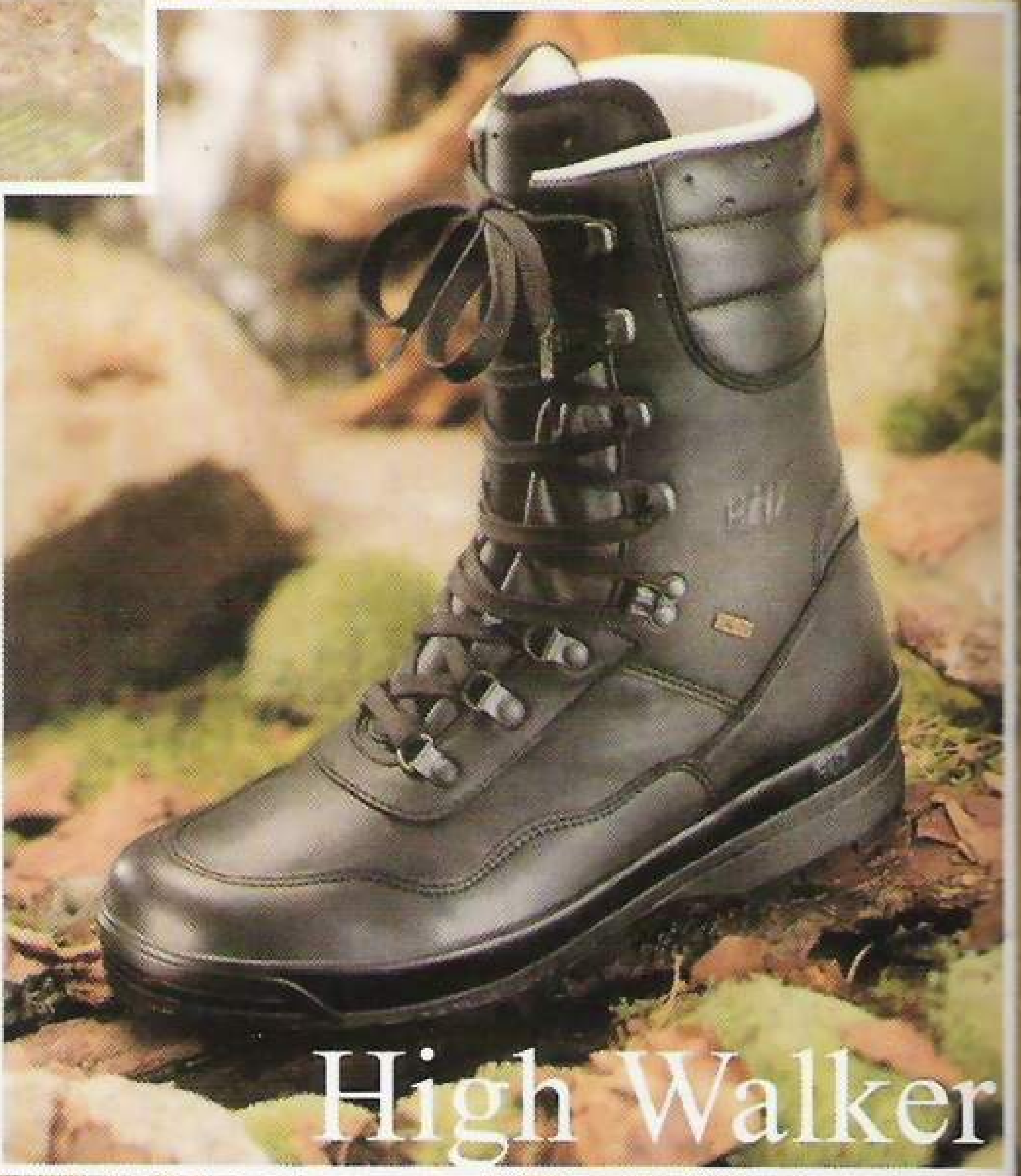

LM

62-510 Konin, ul. Zakładowa 14
tel. (063) 245 63 08, fax (063) 245 63 09
bezpłatna infolinia techniczna 0-800 162 300
e-mail: bhp@lm.com.pl
http://www.bhp.lm.com.pl